BIBLIOTEKA INSTYTUTU BAŁTYCKIEGO w GDAŃSKU
Uniwersytetu Gdańskiego Biblioteka
C IV 9013

Cena zł 20

DZIŚ i JUTRO

KATOLICKI TYGODNIK SPOŁECZNY

Rok IV | Warszawa, 18 kwietnia 1948 r. | Nr 16 (125)

TREŚĆ NUMERU: Z. Jakimiak — Śpiew gregoriański i ludowy w kościele. J. Dobraczyński — Nocne odwiedziny. Przegląd rosyjski. Fragment notatnika Chodowieckiego z 1773 r. W. Pietrzak — Omdlenie powieści. Ks. F. Błotnicki — Zmącony spokój amerykańskiego miasteczka. J. J. Szczepański — Przyczynki do sprawy Wolfa. Czytelnik uważa, że...

Wojciech Kętrzyński

RZECZYWISTOŚĆ

Współczesna prasa katolicka w Polsce tonie w powodzi rozpraw teoretycznych, abstrakcyjnych, wielce uczonych a od życia oderwanych, jakby jej zadaniem najważniejszym było popisanie się przed swoim i cudzym czytelnikiem erudycją autorów i wyszukanym słownictwem naukowym, a nie rzadko tylko pseudo-naukowym. Jak gdyby nigdy nic. Jak gdyby wszystko działo się najlepiej w tym najlepszym ze światów. Jak gdyby istotnie nie było potrzeba zajmować się niczym innym jak tylko abstrakcją. W naszej prasie roi się od „izmów", formułek magicznych, które mają swym obco brzmiącym dźwiękiem wyrazić całą treść dzisiejszego życia i dać nieomylną receptę na wszystkie bolączki, wskazać jedyną właściwą drogę do ostatecznego zwycięstwa.

Oto problemy, które ostatnimi czasy przewijają się na łamach pisma mającego ambicję uchodzić za jeden z czołowych organów publicystyki katolickiej: „romantyzm", „rewizjonizm anty-romantyczny", „mesjanizm poetycko-cierpiętniczy i filozoficzno-pozytywny", „zabójcza antynomia między idealizmem a realizmem", „machiavelizm absolutny, który jest już nie tylko polityką, lecz i metafizyką, religią, ekstazą profetyczną i mistyczną — zdegradowany, irracjonalny, dziki, rewolucyjny i demoniczny" oraz „machiavelizm umiarkowany, racjonalistyczny, konserwatywny". Czytelniku — masz między tymi „izmami" wybierać, jedne wypisywać sobie jako hasła na sztandarach pracy wychowawczej, kulturalnej, społecznej, a drugie traktować jako cele swej moralnej i intelektualnej ofensywy. Między tymi „izmami" mieścić się ma problematyka współczesnego katolika.

Nikt chyba bardziej jak my, młodzi nie docenia w Polsce koniecznej potrzeby wypowiedzi kształtujących ideologię naszych czasów. Nikt jednak też bardziej od nas nie odczuwa potrzeby wyrażania tego językiem prostym, jasnym, pozbawionym makaronizmów i zbędnej grandilokwencji, językiem prostym i twardym jak czasy, w których żyjemy. Lecz obok tego chce się przypomnieć dawno temu rzucone doktrynerstwu ostrzeżenie — „messieurs, il n'y a que la réalité des choses qui compte!". Otóż to właśnie — rzeczywistość dnia dzisiejszego, nasza wewnętrzna rzeczywistość katolicka, zwykły codzienny obrachunek sił, środków i zamiarów, oto elementy niezbędne, by słowo „ideowość" nie było pustym frazesem, parawanem górnolotnych pojęć, za którym pragniemy ukrywać nasz marazm lub bezczynność. O tych konkretach jest w prasie katolickiej o wiele za mało.

Gdy zaczyna się mówić o konkretach, o faktach czy o liczbach, zdarza się często, że rozmówca nasz głosem ściszonym lub wymownym gestem nakazuje milczenie. To jest — tajemnica. O tym pisać nie wolno, bo przecież dane te, zwłaszcza jeśli są krytyczne — mogą być wykorzystywane przez przeciwników sprawy katolickiej.

Gest ten przypomina nam zawsze smutnej pamięci dzieje „tajemnicy wojskowej" w polskiej armii przed-wrześniowej. Któż nie pamięta owych „szlufek", którymi zakrywało się naramienniki, by wróg przypadkiem nie rozpoznał numeru pułku, lub stopnia oficerskiego.

Trzeba sobie otwarcie powiedzieć, że ci, którzy ze złymi intencjami szukać będą szczegółów życia katolickiego w Polsce, znajdą je sami niewątpliwie. O naszych słabościach, o naszych brakach są i będą informowani szczegółowo, bo się nimi interesują. Gorszy znacznie i niebezpieczniejszy jest fakt, iż własne społeczeństwo katolickie chowane jest nie raz w atmosferze cieplarnianej, skwapliwie ukrywa się przed nim istniejące trudności i niedociągnięcia. Jakże często wieje z łam naszej publicystyki sztuczne i demoralizujące „byczo-jestwo" usypiające energię i inicjatywę społeczeństwa.

Nie jesteśmy bynajmniej nastawieni na krakanie i rola Kassandry nam bynajmniej nie odpowiada. Obok stron ciemnych naszej katolickiej rzeczywistości są niewątpliwie i liczne strony nie tylko jasne, lecz wręcz promieniejące pełnią swych wartości i osiągnięć. Żądamy tylko szczerej i męskiej odwagi w stawianiu problemów, żądamy bliższego kontaktu z prawdziwym życiem, tym bez obsłonek i upiększeń.

„TU ES PETRUS..."

Pragniemy dokonać metodycznego przeglądu zagadnień najważniejszych obrazujących właśnie rzeczywistość dnia codziennego katolickiej społeczności w Polsce. Od czego zacząć. Dom się buduje od fundamentów, nie od dachu, okręt — od szkieletu. Podstawą społeczności katolickiej, jego kadrą — jest duchowieństwo. „Ty jesteś opoką, a na tej opoce zbuduję Kościół mój" — oto słowa wypowiedziane do Pierwszego Kapłana, to dewiza całego stanu duchownego. Od tego problemu trzeba też zacząć.

Prowadziliśmy przez pewien czas cierpliwie ankietę wśród bliższych i dalszych kręgów znajomych — co wiecie o problemie duchowieństwa w Polsce. Co wiecie o jego warunkach rozwoju, o zadaniach, o dopływie młodych sił. Kto z grona Waszych najbliższych znajomych, krewnych jest księdzem, wybiera się do seminarium duchownego? Przeważnie padały odpowiedzi mętne, zakłopotane, ogólnikowe. Słyszeliśmy nawet stwierdzenia — „A pocóż się tą sprawą zajmować, księży w Polsce aż za dużo, cóż nam zaś do ich życia i ich pracy?"

Nie ma potrzeby trudzić się w Polsce tłumaczeniem wagi zadań duchowieństwa w społeczności katolickiej, nie potrzeba też stawać w ich obronie, gdyż cieszą się oni szacunkiem i życzliwością powszechną. Trzeba jednak rozwiać mit, iż problem duchowieństwa w Polsce nie budzi obaw, iż wszystko na tym odcinku rozwija się szczęśliwie i zgodnie z potrzebami. Rozglądaliśmy się długo po prasie katolickiej szukając w tych pismach, przeznaczonych dla świeckich, które z Kuriami Biskupimi mają kontakt najbliższy, dokładnych materiałów informacyjnych, mocnych akcentów, wydobycia całokształtu problemu na światło dzienne. Znajdywaliśmy od czasu do czasu łzawo - sentymentalne wspominki, górnolotne apele do poświęcania się służbie Bożej. To wszystko. To jednak o wiele za mało. Tu też trzeba, by przemówiły fakty.

Takimi są osiągnięcia katolickie, jakim jest poziom działalności duchowieństwa. Działalność duchowieństwa zależna jest od wielu obiektywnych i subiektywnych elementów, z tych jednak, które pod naszą obserwację podpadają najłatwiej — wymienimy dwa — stan liczebny i jakość powołań duchownych.

Rozwój ilościowy duchowieństwa w Polsce budził już przed wojną, w okresie pełnej koniunktury materialnej katolicyzmu w Polsce dalekoidące obawy. W roku 1939 alarmował społeczeństwo O. Jacek Woroniecki: „Ogół wierzących katolików w naszym kraju nie zdaje sobie sprawy z wielkiego niebezpieczeństwa, jakie grozi Kościołowi w Polsce w najbliższej przyszłości: oto ilość powołań na służbę Bożą maleje i zbliża się chwila, kiedy nie tylko nie będzie można nowych parafii zakładać, tam gdzie ich na gwałt potrzeba, ale tych co już istnieją nie będzie kim obsadzać... Szczególny tragizm sytuacji polega na tym, że jesteśmy świadkami głębokiego rozwoju życia religijnego w naszej Ojczyźnie w ostatnim pokoleniu, i ten to właśnie rozwój potrzebuje coraz więcej pracowników, zdolnych nim pokierować, inaczej grozi mu zamarcie, wyjałowienie, albo co gorsza, spaczenie. Im bujniejszy jest jakiś ruch społeczny, tym staranniejszego potrzebuje pokierowania w przeciwnym bowiem razie może łatwo pójść w błędnym kierunku i zawieść zupełnie pokładane w nim nadzieje. Łatwo pojąć jakiej jest to doniosłości sprawa, gdy idzie o życie religijnie, w którym stawką jest zbawienie duszy"!

Słowa te pisane były wcześniej nim padły strzały, nim krwawe żniwo wojny nie dotknęło między innymi także i duchowieństwa polskiego.

LICZBY OSTRZEGAJĄ!

Oto porównanie stanu liczebnego duchowieństwa w Polsce z innymi narodami w r. 1939:

Kraj	liczba katolików w tysiącach	liczba kapłanów diec. i zakon.	na 1 kapłana przyp. wiernych
Holandia	2.564	4.681	548
Hiszpania	22.106	39.886	554
Kanada	3.789	6.687	567
Irlandia	3.243	5 556	580
Belgia	7.819	12.693	616
U. S. A.	21.451	32 668	657
Italia	40.710	62.000	657
Australia	1.135	1 451	782
Niemcy	21.000	25.060	838
Austria	6.459	7.326	886
Chiny	3.018	1.898	1.590
Polska	22.100	11.394	1.939

Liczby mówią za siebie, przed wojną wypadało w Polsce więcej wiernych na jednego kapłana, niż w Chinach, i to biorąc tylko pod uwagę kapłanów - Chińczyków, a nie licząc misjonarzy. Na skutek strat wojennych i nowej konfiguracji geograficznej współczesnej stosunek ilościowy kapłanów i wiernych pogorszył się jeszcze po wojnie. W chwili obecnej wykaz ilościowy duchowieństwa wygląda mniej więcej następująco:

Episkopat Polski 48
Księży diecezjalnych 8806
Księży zakonnych 1499

Razem 10353 kapłanów, czyli teoretycznie jeden kapłan przypada w Polsce na 2.063 wiernych.

Jest to liczba zresztą całkowicie teoretyczna, w praktyce bywa znacznie gorzej, biorąc pod uwagę tak fakt, iż wielu księży musi być zatrudnionych przy czynnościach administracyjnych, jak i, że z braku dopływu świeżych sił w czasie wojny przeciętna wieku duchownego przesunęła się poważnie w górę.

Szczegółowa statystyka stosunków parafialnych podkreśla jeszcze mocniej wręcz tragiczną miejscami sytuację duszę pasterstwa w Polsce. Przed wojną bowiem na 1 księdza w parafii wypadało:

najmniej — 1.226 wiernych
najwyżej — 2.869 wiernych

Wytyczne

* * *

Zatraciliśmy poczucie uniwersalnego charakteru chrześcijaństwa! Nie chcemy o tem pamiętać, że jedno i to samo wyznanie zespala nas ze wszystkimi katolikami na ziemi. Religia musi stać się więzią wszechświatową, źródłem poczucia nadrzędnej solidarności etycznej w stosunku do interesów lokalnych. Miłość bliźniego musi być równoznaczna we wszystkich narodach katolickich z budowaniem ustroju sprawiedliwości społecznej.

DM/T9/05

zaś w chwili obecnej rozpiętość powiększyła się znacznie:

najmniej — 1.064 wiernych
najwyżej — 3.460 wiernych

Wniosek stąd prosty — ponieważ jest tylko 7 diecezyj (na 25), w których wypada mniej niż 2.000 wiernych na księdza przeto w olbrzymiej większości parafii księża są przeciążeni pracą i nie mogą podołać przypadającym im obowiązkom. A gdzież mowa o kształceniu się, o inicjatywie, o pracy nad sobą. Czy można się dziwić małej aktywności naukowej i publicystycznej księży, przeciętnie słabemu poziomowi kazań? Czy zastanawia się krytykujący ile godzin spędził ów ksiądz w konfesjonale, czy i kiedy jadł obiad, ile kilometrów przemierzył po mieście czy wsi. A przecież obowiązki księży nie kończą się przeważnie na parafii, dochodzą wykłady w szkole, praca na świetlicach, rekolekcje.

Najtragiczniejsza jest sytuacja na Ziemiach Odzyskanych i terenach objętych w czasie wojny t. zw. Rzeszą Niemiecką. W diecezji wrocławskiej wakowało pod koniec 1946 r. od 100 do 150 probostw, w diecezji włocławskiej 34. Biorąc zaś pod uwagę fakt, iż parafie na tych ziemiach są w stosunku do obecnych warunków stanowczo za duże — zachodzi jeszcze na dodatek konieczność powiększenia ich liczby. W jednej tylko diecezji gorzowskiej należałoby, zdaniem znawców tamtejszych stosunków stworzyć nowych trzysta parafii.

Nie wiedział O. Woroniecki, pisząc swój apel w roku 1939, jak szybko się ziszczą jego pesymistyczne przewidywania!

Do trudności wynikających z nowych warunków pracy dochodzą te, które wynikają z ogromu strat poniesionych przez duchowieństwo w czasie wojny. Sięgają one w diecezjach zajętych przez „Reich" aż do 50% ogólnego stanu (chełmińska, gnieźnieńska, włocławska), koło 30% w łódzkiej, poznańskiej i płockiej, dodając do tego trzy diecezje na ziemiach odzyskanych, w których brak księży daje się najbardziej odczuwać — wrocławska, gorzowska i olsztyńska — oto mamy spis tych diecezji, w których sytuacja katolików jest wręcz alarmująca.

Cechą charakterystyczną, bijącą w oczy z powyższych danych statystycznych jest fakt istnienia nadmiernej rozpiętości między maksymalnym a minimalnym zagęszczeniem duchownych w Polsce. Nasuwa się natychmiast prosty wniosek — konieczność przesunięcia części duchowieństwa na tereny najbardziej potrzebujące wzmocnienia. I tak niewątpliwie być powinno. Trudności są jednak nie tylko formalnej natury, wynikające specyficznie z samoistnej struktury każdej diecezji. Są one i praktyczne — zestawienie ilościowe Polski z innymi krajami wskazuje, że nie powinno nigdy wypadać na 1 kapłana ogółem więcej jak 1000 wiernych w kraju. Żadna diecezja nie odczuwa więc nadmiaru i z trudnością tylko może się poddawać konieczności personalnych przesunięć. Jednak zestawienie 40.000 miasta na zachodzie obsługiwanego przez c z t e r e c h księży, z 6.000 miasteczkiem w Małopolsce, gdzie przebywa aż 12 kapłanów wskazuje na to, iż zdarzają się też wypadki karygodnego braku poczucia obowiązków pionierskich na trudnych niewątpliwie szlakach zachodnich. To też, poza wszystkim trzeba niewątpliwie gorąco apelować do polskich księży — Ziemie Zachodnie wołają o apostołów!

GDZIE SĄ POSIŁKI?

Przed wojną obliczano w Polsce, iż potrzeba o 5.000 więcej kapłanów, niż było wówczas, czyli razem należało osiągnąć liczbę

16.000.

Dziś cyfrę tę musimy traktować jako minimum konieczne, by katolicyzm w Polsce rozwijał się normalnie. Brakuje nam więc minimum 6.000 księży, zaś na potrzebnych 13.000 księży na parafiach — mamy zaledwie p o ł o w ę — niecałe sześć i pół tysiąca ludzi, przeciążonych pracą, a nie raz tak steranych wiekiem, iż nawet elementarnym obowiązkom nie są w stanie podołać.

Świadomi tego stanu rzeczy zwracamy zaniepokojone oczy w stronę seminariów duchownych, które jak szkoły oficerskie mają za zadanie wypełnienie luk. Jak idzie mobilizacja posiłków?

Źle! —

By za lat dwadzieścia (jakże długo!) móc osiągnąć owo minimum konieczne 16.000 kapłanów w Polsce, trzeba nam rok rocznie w podchorążówkach Chrystusowych wykształcić 4.000 alumnów. A oto wykaz powołań do stanu kapłańskiego w ciągu ostatnich lat 14:

W roku	1934	było	2429	alumnów
„ „	1936	„	2326	„
„ „	1937	„	2315	„
„ „	1938	„	2115	„
„ „	1939	„	2078	„
„ „	1946	„	1134	„
„ „	1947	„	1441	„ (!)

Daleko nam do owych potrzebnych czterech tysięcy!

W tym wszystkim rok 1947 jest niewątpliwym, choć jeszcze bardzo drobnym zwycięstwem. Nie tylko bowiem po raz pierwszy od lat 14, i to w najtrudniejszych warunkach zahamowany został i cofnięty spadek powołań lecz dokonał się niezwykle cenny zwrot na odcinku zapełniania się seminariów duchownych na Ziemiach Odzyskanych. Diecezja wrocławska, która w roku 1946 miała zaledwie 6 alumnów, ma ich w chwili obecnej 40, diecezja gorzowska z 4 podskoczyła do 52, gdańska i opolska trojąc liczbę kleryków, jedna tylko warmińska (olsztyńska) pozostaje przy minimalnej liczbie 7. Jest więc czym się cieszyć, trudno jednak tym się przechwalać.

Seminaria duchowne walczą z poważnymi trudnościami. Budynki zniszczone, książek brak, profesorowie poginęli w czasie wojny, koszta materialne utrzymania poważnie wzrosły. Nade wszystko słyszymy powszechnie skargi na bardzo słabą kondycję fizyczną kleryków. Ileż trzeba znów łożyć, by ratować tę młodzież i zapewnić jej konieczny hart fizyczny dla przyszłej intensywnej pracy.

Czy społeczeństwo wie w jakich warunkach kształcą się przyszłe kadry katolickie? Czy się tym interesuje dostatecznie?

Istnieje jeszcze jeden poważny problem. Zbyt mały odsetek powołań wśród inteligencji polskiej. Od dawna główną dostarczycielką powołań jest warstwa chłopska. Jej wartości są nadto znane i wypróbowane, by należało je tu wymieniać. Jest jednak rzeczą oczywistą, że poza nią konieczny jest, zwłaszcza dziś, wobec ogromu zadań na odcinku budowania kultury katolickiej — osobny znaczny wkład osobowy warstw wykształconych do stanu duchownego.

Nie wystarczy w dzisiejszych czasach demonstrować swój stosunek do katolicyzmu przez uroczyste uczęszczanie raz na tydzień na nabożeństwa, nawet przez czytanie i popieranie prasy katolickiej. Cyfry cytowane przez nas w tym artykule, cyfry bijące na alarm swą bezwzględną wymową — skierowane są do umysłów i sumień właśnie tych warstw wykształconych.

Jesteście w tej pracy niezbędni. Jest was o wiele za mało.

WNIOSKI.

Powiedzmy to sobie otwarcie. W tych warunkach przeciętny poziom duchownych musi być poniżej naszych potrzeb. Ubolewając nad tym, iż są dziedziny działalności katolickiej, gdzie odczuwa się wyraźnie brak dostatecznego przygotowania księży do pełnienia trudnych i delikatnych zadań — musimy stwierdzić, iż odpowiedzialność za ten stan rzeczy spada w poważnej mierze na nas, na świeckich. Takim bowiem będzie duchowieństwo polskie, jakich kandydatów wychowa i skieruje do seminariów samo społeczeństwo. To przede wszystkim więc kwestia wewnętrznej dojrzałości katolików świeckich, ojców, matek, działaczy czy pisarzy.

„Dzisiejszy brak powołań świadczy tylko o tym, że odrodzenie religijne jest u nas dopiero na połowie swej drogi, pisał O. J. Woroniecki. że nie mogło jeszcze wypełnić wszystkich swych zadań, szczególnie tych, które dłuższego przygotowania wymagają. Do takich należy właśnie dostarczanie sług bożych, które wymaga głębszego przeniknięcia pierwiastków chrześcijańskich do życia rodzinnego. Można ufać, że dzisiejsza młodzież zdobyta dla Boga wytworzy w swym życiu rodzinnym taką atmosferę, w której powołania kapłańskie i zakonne będą o wiele częstsze niż to miało miejsce dotąd. W starszych pokoleniach nasze rodziny w warstwach oświeconych były bowiem dotąd na sprawę powołań zupełnie nie czułe".

Czy tylko rodzice młodszego pokolenia świadomi są ciążących na nich w tej dziedzinie obowiązków. Czy kontakt ich z problemami konkretnymi współczesnej rzeczywistości katolickiej jest dostatecznie bliski? Wydaje się nam, że jeszcze nie.

Wchodzimy tu w drugą dziedzinę zagadnień, wiążących się ściśle z problemem walki o właściwą ilość i jakość duchowieństwa polskiego. Nie wiemy czy świadomie, czy też nie problemy duchowieństwa polskiego nie są udostępniane aktywnym kołom świeckim. W tej dziedzinie nie ma dostatecznego kontaktu. Nie ma go na szczeblu parafii, gdzie mimo istnienia rad parafialnych proboszcz żyje przeważnie w swoistym „splendid isolation", lub najwyżej w kręgu najbliższych zaufanych, nie ma go tym bardziej na szczeblu diecezji i jej instytucyj. Być może, że tym odizolowaniem kieruje chęć zaoszczędzenia, zwłaszcza młodym kształcącym się klerykom niepokojów, które wnosi ze sobą świat ludzi świeckich. Jeśli jednak mamy wychowywać młodych duchownych na ludzi walki niesposób ich utrzymywać z dala od współczesnych problemów. Kontakt więc między seminariami, a aktywnymi środowiskami świeckimi miałby, w naszym mniemaniu, tylko obustronny efekt dodatni, jeśliby tylko odbywał się pod czujnym okiem ludzi rozważnych i doświadczonych. Stawiamy tu problem, bez ambicji rozwiązania go — czy w czasach dzisiejszych nie byłoby rzeczą pożądaną, by tworzyły się przy ośrodkach wychowujących młodych duchownych — jakby koła przyjaciół seminariów. Zadaniem ich byłoby w najszerszej mierze pośredniczyć między młodym duchowieństwem a społeczeństwem. Zadaniem ich byłoby właśnie, znając problematykę szczegółowo propagować wśród katolików właściwy stosunek do spraw duchowieństwa, a nie raz i odwrotnie mogliby stać się wobec księży rzecznikami właściwego stosunku do akcji świeckich.

Trzeba synchronizować wysiłki by w czasie najszybszym uzyskać najlepsze wyniki.

---

*) Wszystkie dane cyfrowe oparłem na niezwykle cennych pracach statystycznych O. Mariana Pirożyńskiego, C.S.S.R., drukowanych przed wojną w mieś. „Szkoła Chrystusowa" a obecnie, w redagowanym przez niego we Wrocławiu mies. „Homo Dei".

Zygmunt Jakimiak

Śpiew gregoriański i ludowy w kościele

Nowa encyklika papieska „Mediator Dei" wzbudziła pewne, choć bardzo słabe jeszcze zainteresowanie w prasie katolickiej. Tu i ówdzie ukazały się wzmianki, lub większe artykuły, omawiające treść encykliki, a nawet przy tej okazji skrzyżowały się w polemice pióra katolików, inaczej rozumiejących wskazania papieża w sprawie muzyki kościelnej. Wrażenie, jakie obiektywny czytelnik odnosi z tego odzewu prasy katolickiej na głos papieża, musi być z konieczności przykre. Głosy bowiem, jakie się odezwały, zdradzają prawie bez wyjątku, wielką nieświadomość i brak zrozumienia intencji Ojca Św. Czytamy np. — powszechnie podzielane poglądy:

1. Śpiew gregoriański nie jest dogmatem;
2. Papież dopuszcza polifonię, a nawet poleca usilnie pielęgnować śpiewu ludowego.

Już tylko te poglądy szerzą wielkie zamieszanie pojęć w dziedzinie podstawowych założeń Kościoła. Myślę, że niesposób pozostawić rzeczy w tym stanie. Spójrzmy w końcu na hierarchię uprawnień władz Kościoła bez uprzedzeń i bezstronnie też przeczytajmy dokumenty papieskie, by wyciągnąć z nich wnioski pożyteczne.

Najpierw sprawa pierwsza jako zasadnicza. Śpiew gregoriański nie jest dogmatem. Twierdzenie słuszne, owszem; ale jak je rozumieć, jaki wniosek z niego wysnuć? Czy znaczy ono, że można odrzucić, zlekceważyć śpiew gregoriański? Trzeba się nad tym głębiej zastanowić.

Zakres karności kościelnej jest zbyt szeroki, bym tu o nim traktował. Ale jedną z głównych jej dziedzin jest kult, czyli zewnętrzna, oficjalna, urzędowa cześć Boga. Prywatną cześć mają i poganie, modlący się w lesie i protestanci i — wierzę—nawet niedowiarki. Ale katolicy oddają wspólnie, jako jedność, zbiorowość, ciało Chrystusa, cześć Bogu i to w sposób przez Samego Boga przepisany, przez Ducha św. natchniony. A w tym kulcie sercem, ogniskiem jest Msza św..., po niej zaś zaraz idzie brewiarz, czyli Divinum officium. To jest najwłaściwsza służba Boża, obiektywna i absolutna. O tym każdy wie z katechizmu.

Te sprawy, podobnie jak i nauka wiary i moralności zbyt są fundamentalne i nadprzyrodzone, by mogły być traktowane indywidualnie. Potrzebna tu, jak i tam, powaga, władza nieomylna. I rzeczywiście tylko papież decyduje o sprawach kultu. I tu dochodzimy do punktu spornego: co naucza, co nakazuje i zarządza papież, jako bezwzględny autorytet w sprawach dyscypliny, a szczególnie o śpiewie gregoriańskim?

Otóż Pius X tak mówi w Motu Proprio: „Tradycyjny śpiew gregoriański, przywrócony być musi w wydatnej mierze w obrzędach kultu". Tak samo się wyrażają papieże Pius XI i Pius XII. Sprawa skończona.

Publicyści cytują czasem tego ostatniego papieża na korzyść śpiewu ludowego. Wróćmy do dokumentów urzędowych.

„Wiemy już, że śpiew gregoriański musi być przywrócony. Nakaz władzy! O polifonii wspomniane Motu Proprio mówi: „Polifonia klasyczna zasługuje na to aby obok śpiewu gregoriańskiego była przyjęta w obrzędach kościelnych". O śpiewie zaś ludowym tak mówi tenże dokument: „Zakazanym jest w uroczystych czynnościach liturgicznych śpiewać cokolwiekbądź w języku ludowym". A obecny papież? Czy przeczy temu? Czytamy w encyklice Mediator Dei: „Nie bez wielkiego bólu dowiedzieliśmy się, że nie tylko w mniejszego znaczenia ale i w chwilach najważniejszych nie brakuje takich, którzy wobec Ofiary Eucharystycznej, posługują się językiem ludowym (lingua vulgari utantur)". W końcu Mediator Dei mówi jeszcze raz o śpiewie ludu: „Upominamy Was, Bracia Wielebni, abyście śpiew ludowy religijny pielęgnowali".

Czy jest tu jaka sprzeczność, czy wątpliwość? Nie ma żadnej. Liturgistom, a jest ich niestety przeważająca liczba, wydaje się, że ci, którzy starają się wprowadzić chorał gregoriański do kultu, są wrogami śpiewu ludowego. To fałsz wierutny. Nigdzie tyle się nie śpiewa polskich pieśni religijnych, co u ks. Nowackiego w Niegowie, czy u ks. Sprusińskiego na Lesznie. Ja zaś chętnie stanę do zawodów na tym polu. Umiem na pamięć Godzinki, Gorzkie Żale, pieśni maryjne, pasyjne. Na nich się wychowałem. Matka moja nam je śpiewała w domu. Ale — skąd się wziął śpiew ludowy? Czy z nieba spadł, czy może przechował się on z pogańskich czasów króla Ćwieczka? Otóż muzyka ludowa oparta jest na gamie kościelnej. Teksty jej są natchnione z tekstów łacińskich, liturgicznych. Śpiew ludu jest synem chorału i bez niego usycha, ginie. Właśnie jeśli chcemy mieć dobrą pieśń ludową, żywą, płodną to musimy pielęgnować chorał liturgiczny.

Jak więc rozumieć zarządzenia papieży? Jest to jasne. Chorał należy śpiewać w czasie mszy uroczystej, t.j. śpiewanej. W czasie mszy granej dozwolona polifonia. W czasie mszy cichej i w nabożeństwach specjalnych (Godzinki, Różaniec, Droga Krzyżowa, Gorzkie żale, Nowenny, itp. itd.) śpiew ludowy. Bardzo niewiele papież i jego zwolennicy wymagają. Jedna msza na tydzień i w niej tylko kilka części śpiewanych (Kyrie, Gloria, Credo, Sanctus, Benedictes, Agnus Dei), których wykonanie zajmie 15 minut czasu. Tylko tyle! A dlaczego to jest konieczne? Bo wszystko inne jest nielogiczne, nie na miejscu, nie ma sensu, bo nie ma najmniejszego związku z Mszą św.! O co więc walczy? O co się spierać? Parafie, które śpiewają chorał, są odporne na propagandę heretycką, podnoszą swój poziom moralny, wzmagają życie nadprzyrodzone!....

Zygmunt Jakimiak

Jan Dobraczyński

NOCNE ODWIEDZINY*)

Noc już była głęboka, kiedy paru jeźdźców opuściło miasto i wyjechało, ostrym kłusem, na drogę, prowadzącą do Jericho. Wszyscy otuleni byli płaszczami, na głowach mieli zawoje. Powietrze było parne i gorące, gęste niby oliwa, za to noc jasna od gwiazd. Suchy pył spod kopyt końskich unosił się białymi kłębami na granatowym tle i drapał gardła. Konie parskały, ludzie kasłali. Trzeba było przejść do stępa i zjechać z drogi. Wierzchowce, czując pod nogami trawę, wyciągały szyje. Trawa jednak była spalona, sucha i twarda. Susza trwała ciągle.

Za Bahurim droga poczęła spadać w dół z wyżyny, na której leżała Jerozolima, w ciasne parowy, biegnące ku brzegowi „ghoru". W miarę jak jechali czuło się świeższy nieco powiew od rzeki. Oni jednak zatrzymali konie na zboczu i poczęli z nich zsiadać. Mężczyzna okutany w wielki płaszcz wydawał rozkazy. Powiedział wskazując na dwóch ludzi: „Ty i ty idziecie ze mną". Reszcie polecił zostać z końmi pod kępą palm. Uśpione Anatot leżało przed nimi. Ani jedno światło nie paliło się wśród białych domków. Kierujący wszystkim mężczyzna rzekł teraz: „Prowadźcie". Trójka ludzi poczęła zwolna obchodzić domy. W pewnej chwili coś zachrzęściło w krzakach. Mężczyzna odskoczył gwałtownie. Ale to musiało być jakieś zwierzę, które spłoszyli. Gniewnie powiedział do towarzyszy: „Miejcie broń w pogotowiu". Bez słowa wydobyli miecze. Gdy rozchylali płaszcze, pancerze błynęły w blasku gwiazd. Znowu szli czas jakiś. Ten, który mu przewodniczył zapytał niecierpliwie: „Dobrze idziemy?" „Dobrze!" — odparł jeden z towarzyszy. — „Cicho!" —syknął mężczyzna. — Nie woi no, by nas kto usłyszał".

Zbocze do którego podeszli stawało się skaliste. Wzdłuż nagiej skały prowadziła w górę wąska ścieżka. Mężczyzna kazał gestem żołnierzom iść bardzo cicho. Sunęli po białej ścianie niby trzy cienie. Otwór jaskini zamajaczył przed nimi. Wtedy zatrzymali się na małej płasience. Z groty dochodził głośny oddech śpiącego człowieka. Mężczyzna ruchem rąk przywołał do siebie żołnierzy. Chciał im coś powiedzieć prosto w ucho, kiedy nagle, w głuchej ciszy, rozległ się obok nich chrypliwy głos:

— Czego tu chcecie?

Odwrócili się szybko. Miecze błysnęły spod płaszczy. Pod skałą siedział ktoś tak nieruchomy, jakby nie był żyjącym człowiekiem. Nie poruszył się i teraz, gdy cicho podeszli do niego.

— Ktoś ty? — szepnął mężczyzna.

— A kto ty jesteś? — siedzący pytał spokojnie nie ściszając głosu.

— Ciiiicho! — człowiek w płaszczu położył palec na ustach i rozejrzał się niespokojnie. Ściszając głos jeszcze bardziej, szeptał: — Poznaję. To ty, Jeremiaszu... — Niemym gestem dał znak żołnierzom aby odeszli. Przysiadł przy proroku. — To ja... — powiedział.

— Nie wiem kto ty jesteś.

— Ach, tylko mów cicho! Nie chcę aby ktokolwiek dowiedział się, że tu przybyłem. To ja, Mataniasz...

— Król?

— Ja, Jaremiaszu. Cicho! Nie poznajesz mnie? — zsunął płaszcz, który mu zakrywał dół twarzy, odgarnął turban z czoła. Ale zaraz gdy Jeremiasz potakująco skinął głową, znowu wcisnął zawój na oczy i otulił się płaszczem. — Nikt, słyszysz, nikt nie może się dowiedzieć, że przyjechałem do ciebie...

— Tu nikogo nie ma.

— Nigdy nie wiadomo. Mogli mnie śledzić. Nikomu nie ufam

— Czego chcesz?

Mataniasz znowu obejrzał się niepewnie, czujnym uchem nasłuchiwał chwilę czy oddech Barucha, śpiącego w grocie, jest spokojny. Upewniwszy się ostatecznie zbliżył usta do ucha Jeremiasza.

— Szedłeś do mnie?

— Szedłem. Ale zabroniłeś mnie wpuszczać.

Król gwałtownie zamachał ręką.

— To nie ja, to ci głupcy! Ja zawsze z tobą, Jeremiaszu...

— Czego chcesz?

— Powiedz: co mi przyniosłeś od Nabuchodonozora?

— Jesteś ciekawy? Nie chciałeś przecież słuchać...

— Ależ! Mówię ci, że to nie ja!

— Nie ty? Więc dobrze. Nabuchodonozor wie o twojej zdradzie.

Mataniasz wykrzyknął zapominając o ostrożności:

— To nieprawda! Nie zdradzam go!

— Nie krzycz! — w głosie Jeremiasza zadźwięczała drwina — Chciałeś przecież aby było cicho. Powiadam ci: Nabuchodonozor wie.

Król milczał, ale dygotał tak, że podzwaniały wiszące mu na piersi łańcuchy. Szczękały mu także zęby.

— Dowiedziałeś się — mówił Jeremiasz — Czego chcesz jeszcze?

— Słuchaj, słuchaj Jeremiaszu... — Mataniasz wczepił w ramię proroka swe drżące palce. — Co ja mam robić? Powiedz... Czy wiesz — głos mu się prawie załamał — Elmadam wrócił?

— Cóż stąd?

— Pytasz On teraz potężny. Jest przyjacielem samego faraona.

— Nie zbliżaj się do niego. Nabuchodonozor ukarze cię jeśli mu się natychmiast nie wytłumaczysz ze swoich spisków z faraonem. Chcesz by cię przyszedł ukarać?

— Nie! Nie! — głos Mataniasza przypominał pisk przerażonego szczura. Nie! Ale on chce.

— Kto?

— No, on, Elmadam. Mówi, że jeśli Nabuchodonozor tu przyjdzie, wtedy my go pobijemy...

— Ty go pobijesz?

— My... i faraon...

Jeremiasz, który siedział dotychczas wciąż nieruchomo pod skałą, poruszył się gniewnie

Swymi zesztywniałymi ze starości palcami chwycił Mataniasza za płaszcz i przyciągnął króla do siebie.

— To śmierć — syknął. — Zrozumiałeś?

— Zrozumiałem — dygotał tamten. — Ale nie wiem... dlaczego? Nabuchodonozor jest silniejszy? Myślisz, że jest silniejszy niż faraon?

— Głupcze Faraon to grzech, a Nabuchodonozor — miecz Pański na faraona. Nie kładź głowy między młot a kowadło.

Odsunął od siebie Mataniasza. Podniósł wzrok ku niebu. Tam, gdzieś, w otchłani pełnej gwiazd pełgał mały, ledwo dostrzegalny płomyczek. Jeremiasz myślał coraz częściej, coraz uroczywiej o tym nieznanym wybrańcu gwiazd, który miał się dopiero narodzić. To co powiedział wówczas Ikis-belowi było myślą jeszcze nie zrodzoną, a już wydobytą — bolesnym wysiłkiem — na powierzchnię. I on czekał. Czekał, drżąc, w poczuciu świadomości, że czas biegnie zbyt szybko, zbyt gwałtownie, a ludzie nieuchronnie posuwają się w dół po jakimś zboczu i ani on, ani żaden inny człowiek nie zdoła ich powstrzymać. Świat wydawał mu się podobny rozszalałemu morzu, którego fale podrzucają małą łódeczkę. Czy należy ją powierzyć łasce bałwanów? Czy należy walczyć o jej bezpieczeństwo?

Poczuł znowu na ramieniu rękę Mataniasza. Niechętnie powrócił od swych myśli do lękliwego króla.

— Czego chcesz jeszcze?

— Więc powiadasz, żeby nie słuchać Eldmadama? Żeby odmówić pomocy Hofrze? Czy tak? Radź mi, Jeremiaszu.

— Czemuż to do mnie przychodzisz prosić o radę? Masz swoich proroków... Masz Ananiasza... Ja jestem fałszywym wieszczkiem...

Gorycz mimo woli odezwała się w tych słowach. Tak, to był ból gorący, nigdy nie wygasły. Fałszywy wieszczek! Przed dwudziestu laty rzucono mu to w twarz po raz pierwszy. Był przecież tak pewny, że to Pan kazał im stanąć wówczas pod Megiddo przeciwko przemocy Nechao. A jednak nic nie potwierdziło tej pewności. Przez dwadzieścia lat Głos milczał. Jeremiasz został sam z coraz silniej chwiejącą się pewnością, coraz ostrzejszymi wątpliwościami szarpany. Nie było żadnych rozsądnych przyczyn, dla których on, który wołał: walczcie z Egipcjanami choć są od was silniejsi, teraz miał wołać: nie próbujcie walczyć z Nabuchodonozorem, bądźcie mu poddani i posłuszni! Któż mu powie, że gdy skutkiem wzywania do walki z faraonem była klęska i śmierć wielkiego króla, ostatniego z wielkich królów Judy, skutkiem jego obecnego wołania nie będzie nowa, bardziej jeszcze krwawa klęska? Fałszywy wieszczek... Ach, te dwa słowa leżały mu od lat kamieniem na piersi! Łez już nie starczało by więcej płakać! Fałszywy wieszczek... Wieszczek, który żył dawno, przed laty, usłyszanym słowem...

Doszedł go szept:

— Wszak Ananiasza nie ma

— Gdzież odszedł ten kłamca?

— Jakto, nie wiesz? Przecież nie żyje. Zabiłeś go swoim słowem.

Nagły dreszcz wstrząsnął Jeremiaszem. Ananiasz nie żyje! To była krótka chwila, gdy wołał do niego na podwórku świątyni, ale w tej jednej, krótkiej chwili miał świadomość, że mówi znowu tak, jak mówił niegdyś, przed laty do wysłańców króla Jozjasza... To był znak: oślepiający i wstrząsający niby błyskawica. Więc jednak nie został tylko z echem dawnych słów. Głos odzywa się znowu i po latach milczenia potwierdza swe dawne zapowiedzi. Ananiasz nie żyje! Ten tęgi, podobny bykowi człowiek, padł od razu powalony nagłą śmiercią. Lecz jeżeli on nie żyje, to znaczy, że dzień kary przybliża się nieubłaganie i jest coraz bliższy. Jeżeli Ananiasz nie żyje — to znaczy, że Pan już potępił to kłamstwo życia z Bogiem a przecież bez Boga.

Rzucił gwałtownie:

— Więc dlatego przybyłeś do mnie? Ty, tchórzu...

Oparł Mataniaszowi dłonie na ramionach, patrzył wytężonym wzrokiem w twarz króla. Mataniasz był podobny do Joachaza Miękkie i ociężałe rysy Amital-Syryjki zatarły na jego obliczu męski, szlachetny kształt twarzy Jozjasza. W krótkim, cofniętym podbródku malował się brak woli i stanowczości, w małych, mętnych, szybko biegających oczach tchórzostwo. Pamiętał go małym chłopcem, trzymającym się kurczowo szaty ojca, często popłakującym. Pamiętał także dzień, kiedy w nagłym, oślepiającym błysku wydało mu się, że widzi Mataniasza rzuconego na ziemię, przyciśniętego twardą stopą zwycięzcy... Nagłym ruchem potrząsnął królem, jakby chciał strącić mu z twarzy wyraz słabości i lęku, a wywołać na niej natchniony błysk odwagi. Palcami dotykał jego czoła, nosa, policzków. Jednym pchnięciem zrzucił mu turban. W gwiezdnej poświacie nie mógł zobaczyć jakiego koloru są włosy Mataniasza. Mieniły się, wydawały się zielono-srebrne.

— Jakie ty masz włosy? — zapytał.

— Włosy? Włosy? — król nie przestawał się trząść — Włosy? Myślisz, że długie? Jak u Absalona?...

— Nie — głos Jeremiasza stał się miękki, prawie łagodny. — Pytam jakiego koloru masz włosy?

Zdziwienie splatało się z niepokojem w głosie Mataniasza:

— Lisie jak ojciec...

Prorok znowu oparł się o ścianę i zapatrzył się w gwiazdy. Pełzały wolno, a przecież nieustępliwie wciąż i wciąż naprzód. Tu na tej samej ścieżce, u stóp tej samej skały siedzieli kiedyś on i Jozjasz. Czerwonowłosy król pytał: „Patrzysz wciąż w gwiazdy. Czy umiesz z nich czytać, jak mędrcy chaldejscy?". Potrząsnął głową. „Nie — odparł — w gwiazdach nie czytam... Gwiazdy są zawsze takie same, człowiek jest codziennie inny...". Tak, tylko człowiek jest tajemnicą. Jest potężny — a pada, jest słaby — a zwycięża. Syn wielkiego ojca bywa tchórzliwą kukłą, syn małego awanturnika urosnąć może na mocarza. Przepaść przywołuje przepaść, ogrom zła woła o ogrom dobra. Wszystko przemija, lecz to królestwo nie przeminie... Tak mu kiedyś powiedział Pan: nie skończy się ofiara arcykapłana, nie będzie odjęte władztwo Judzie...

— Pytałeś o kolor włosów? — dobiegł go szept. — Dlaczego?

— Dlaczego... Słuchaj... — pochylił się nad przykucniętym przed nim królem. — Masz czynić co ci każę...

— Uczynię, rabbi.

— Wyślij poselstwo do Nabuchodonozora. Przeproś go za twoje spiski. Wyrzecz się ich na zawsze. Zapłać trybut.

— Dobrze...

— Musisz zyskać czas. Czy ty mnie rozumiesz? Czas!

— Rozumiem...

— A wtedy ogłoś rok święty. Wszystkie długi biedaków muszą im być darowane, wszyscy niewolnicy muszą odzyskać wolność. Ziemia ma wrócić do nędzarzy, którzy ją musieli sprzedać. Pozostawicie pola odłogiem...

— O, rabbi, pozwól... — Mataniasz nadał głosowi ton jak najsłodszy. — Zrobię co chcesz... zrobię... Ale pola? Patrz jaka susza... Wszystko zmarniało...

Uciszył go gniewnym błyskiem oczu.

— Ani słowa! Pozostawicie pola odłogiem! Deszcz przyjdzie. Nie odejdę z tego miejsca, nie przestanę prosić, aż się to stanie... Ma być wszystko jak Pan powiedział...

— Rzekłeś.

— Obce kulty masz zniszczyć. Nie drżyj! — targnął królem, który usłyszawszy ten rozkaz, począł się znowu trząść febrycznie. — Nie będzie w Judei ołtarza Molocha ani Astarte, ani Baala, ani Isztar! Nie drżyj! Masz być silny. Słyszysz? Masz być silny!

— Będę... silny...

Zmierzył go płonącym wzrokiem. Choć się teraz dumnie prostował jakże nędznie wyglądał ten król, o nastroszonych trwożnie włosach, trzymający swój turban w ręku. Trzeba było mieć ognisty zapał, by popychać tego słabeusza do wielkiej wyprawy na ratunek zaprzepaszczonego dziedzictwa, trzeba było mieć pewność nieustępliwą i upartą, nie znającą wahań pewność, że największe dzieła ludzkie dokonać można najnędzniejszymi rękoma. Zresztą czyż było spośród kogo wybierać? Mataniasz był ostatnim. Jego synowie byli chłopcami Tamten — gnijący w więzieniu — żył buntem i bluźnierstwem. Kukły nie są bohaterami. Ale gdy nie ma bohaterów, trzeba z kukły zrobić bohatera...

— Idź już — powiedział do Mataniasza — już idź... Uczyń wszystko co ci kazałem uczynić.

Wyprostowana figurka znowu zmalała, skurczyła się, zgarbiła, z dygoczących warg dobywały się drżące słowa:

— Pójdę... będę silny... ale.. Czy będą mnie słuchali? Jak myślisz, rabbi. Kto mnie wesprze?

— Wezwij do swego boku ludzi mądrych. Kapłana Sofoniasza, Azareela...

— I oni...?

— Nie myśl o tym! Tylko ty bądź silny! Idź!

dokończenie w nast. numerze

*) Rozdział z powieści „Wybrańcy gwiazd", która się ukaże w końcu kwietnia, nakładem księgarni wydawniczej Zdzisława Gustowskiego w Poznaniu.

W kraju...

W PRZEDEDNIU FUZJI PPR I PPS

Jakkolwiek nie nastąpiło jeszcze formalne zlanie PPS i PPR w jedną partię jednak fuzja jest już postanowiona. Wydaje się, że takie rozwiązanie sprawy było nieuniknioną konsekwencją rozłamu jaki się dokonał w międzynarodowym ruchu socjalistycznym t.zn. wyraźnej linii podziału między europejską prawicą a lewicą socjalistyczną. W tej chwili w COMISCO nie zasiada ani jedna partia socjalistyczna z krajów demokracji ludowych. Wystąpienie Polski z COMISCO zbiegło się ze słynną mową Premiera Cyrankiewicza wygłoszoną na posiedzeniu Miejskiego Komitetu PPS w Warszawie w dniu 17 kwietnia, w którym Sekretarz CKW PPS wyraźnie stwierdził wkroczenie w zakres przygotowań do utworzenia jednej partii robotniczej. 19 kwietnia w „Głosie Ludu“ ukazała się wypowiedź wicepremiera Gomułki. Jednocześnie w całym kraju odbywają się wspólne posiedzenia obu stronnictw, na których przemawiają czołowi działacze zarówno PPS jak i PPR.—3 kwietnia odbyło się trzecie wspólne posiedzenie KC PPR i CKW PPS, na których wicepremier Gomułka referował sprawę budowy gmachu zjednoczonych partii a premier Cyrankiewicz przedstawił projekt rezolucji o wspólnych obchodach 1-majowych. Wicepremier Gomułka wezwał członków obu partii do opodatkowania się na rzecz budowy gmachu, który w całości ma powstać ze składek robotniczych. Stwierdził też wówczas, że termin ostatecznego zlania się PPR i PPS w jedną partię nie jest jeszcze ustalony.

JEDNOLITA ORGANIZACJA MŁODZIEŻY

Na zebraniu dyskusyjnym centralnego aktywu ZWM, OM TUR, „Wici“ i ZMD odbytym w dniu 9 b.m przedstawicile wszystkich czterech organizacji wypowiedzieli się za stworzeniem jednej organizacji skupiającej całą młodzież do tej pory służącą czterem odrębnym kierunkom ideowym. Poseł Ozga Michalski (wiceprzewodniczący Zarz. Gł. ZMW „Wici“ stwierdził, że zadaniem organizacji młodzieżowych w chwili obecnej jest powołanie do życia komitetów jedności, celem ujęcia organizacyjnego prac przygotowawczych do kongresu. Zjednoczeniowego organizacji młodzieżowej.

ADMINISTRACJA

uprzejmie prosi PT. Prenumeratorów o dokładne i czytelne podawanie nazwisk i adresów. Nieczytelny lub niedokładny adres opóźnia lub często uniemożliwia wysyłkę pisma. Jednocześnie uprzejmie prosimy o uregulowanie zaległych opłat za prenumeratę.

PRZEGLĄD ROSYJSKI

Dominującymi tematami prasy radzieckiej są w dalszym ciągu sprawy wiążące się z intensywną odbudową zniszczonego przez wroga kraju. Na czołowych miejscach periodyków spotykamy różnego rodzaju slogany, jak:

„SŁAWA PRZODOWNIKOM SOWIECKIEGO ROLNICTWA! NALEŻY PRACOWAĆ WYDAJNIE I INTELIGENTNIE! OSZCZĘDNOŚĆ I DBAŁOŚĆ POZWOLI NAM UNIKNĄĆ ROZRZUTNOŚCI! DAMY KRAJOWI WIĘKSZĄ ILOŚĆ METALI, CO PRZYŚPIESZY WYKONANIE ZAKREŚLONEGO PLANU GOSPODARCZEGO! GÓRNICY DOTRZYMALI DANEGO SŁOWA! MŁODZIEŻ WINNA OPANOWAĆ TECHNIKĘ! MŁODZIEŻ W SWEJ PRACY WINNA OSZCZĘDNIE GOSPODAROWAĆ MATERIAŁEM, NARZĘDZIAMI I ELEKTROENERGIĄ! OBNIŻAJCIE KOSZTY PRODUKCJI! WYCHOWUJMY OBYWATELSKIE NASTAWIENIE DO PAŃSTWOWEGO DOBRA I NIE MARNUJMY GO! OBNIŻYĆ KOSZTY PRODUKCJI, A PODNIEŚĆ RENTOWNOŚĆ PRZEDSIĘBIORSTW! WIĘCEJ ARTYKUŁÓW CODZIENNEJ POTRZEBY! STARZY ROBOTNICY POMAGAJĄ WYCHOWYWAĆ MŁODZIEŻ!

Jak wynika z przytoczonych powyżej sloganów, praca na wszystkich odcinkach jest prowadzona pod hasłem jak najdalej posuniętej oszczędnej gospodarki surowcami oraz jak najbardziej racjonalnego ich wykorzystania w produkcji.

W gazecie „Komsomolskaja Prawda“ w artykule pt. „Oszczędność we wszystkim“ jest poruszona sprawa nieocenionej wartości robotnika, a mianowicie:

„Do sekretarza rady załogowej Anny Kułaginej, w fabryce wyrobów gumowych w Swierdłowsku, zgłosiły się robotnice: Koczewa, Obiżałowa i Ufimcewa. — Dusza boli za metkal — powiedziały one. Ile go się na próżno marnuje. Trzeba temu zapobiec. Metkal jest używany w ten sposób, że końce okrętki, półtoracentymetrowej długości, są zwykle odrzucane. Dziewczęta obliczyły, że codziennie w ten sposób marnuje się dziesiątki metrów materiału.

A gdyby przyjąć inny sposób krajana? — nie z szerokości, ale z długości kawałka — zaproponowały dziewczęta — wtedy uniknie się odpadków.

Dyrektor fabryki oraz kierownik tego działu podtrzymali inicjatywę dziewcząt. Wkrótce nowy sposób zaproponowany przez nie przyniósł fabryce tysiące rubli oszczędności“.

W fabrykach daje się zaobserwować dużo przykładów stosowania przez młodzież zasad oszczędności, jak podaje wyżej wymieniona gazeta:

„Pewnego razu robotnica Kałasznikowa obliczyła koszt mieszanki „245“. Koszty produkcji, jej zdaniem, były zbyt wysokie. Kałasznikowa zaproponowała inny skład mieszanki, w której składniki drogie i trudne do otrzymania byłyby zamienione tańszymi. Na przykład w zamian kauczuku użyła ona materiał zastępczy. W wyniku jakość mieszanki nie uległa pogorszeniu, natomiast koszt produkcji wielokrotnie się obniżył. Dzięki temu fabryka zaoszczędziła 76.000 rubli“.

W ten sposób gospodarka oszczędnościowa młodych robotników tylko jednej fabryki dała Państwu setki tysięcy rubli zysku.

W tejże samej gazecie, ciekawy w swej treści, jest artykuł jednego z prowincjonalnych korespondentów pod tytułem „Zalecenia kandydatom na posłów“, w którym pisze:

„Przed sowiecką młodzieżą stoją otworem wszystkie drogi w jej życiu. U nas nie ma bezrobocia i poniżającego bezprawia. Każdy młodzieniec może w naszym kraju stać się kwalifikowanym robotnikiem, inżynierem, lekarzem, nauczycielem. I młodzież jest wdzięczna za to bolszewickiej partii, tow. Stalinowi.

Są to słowa wypowiedziane przy spotkaniu z wyborcami przez Katarzynę Strelnikową, kandydata na posła Proletariackiego Rejonowego Komitetu Stolicy Kirgizji.

Młoda robotnica, która wstąpiła do fabryki im. Frunze w pierwszym roku wojny, cieszy się uznaniem całego robotniczego kolektywu.

Dużo mamy w naszym przedsiębiorstwie młodzieży, mówi tak odpowiedzialna osoba jaką jest tow. Czernoskutow, ale spośród wszystkich jednak wybraliśmy tę najbardziej przodującą dziewczynę. Katia Strelnikowa jest znakomitą pracowniczką, wyrabia ona dziennie 2—3 normy. Młodzi wyborcy dobrze znają swego kandydata i jednogłośnie będą na nią głosować. Oni są przekonani, że tow. Strelnikowa będzie umiała dbać o potrzeby młodzieży.

A potrzeb tych jest niemało.

W Proletariackim obwodzie znajdują się największe przedsiębiorstwa republiki, a mimo to nie ma tu na przykład stadionu. Park przyfabryczny im. Frunze zapuszczony, drzewa są wycinane. Rejonowy Komitet Partyjny powziął decyzję ochrony tego parku, ale w praktyce dotychczas nic nie zrobiono.

Słuszne pretensje przedkłada obecnie młodzież dyrektorom przedsiębiorstw żądając stworzenia odpowiednich warunków dla podniesienia swych kwalifikacji.

O tym wszystkim opowiedziała młodzież przy spotkaniu ze swoim kandydatem na posła. I życzenia młodych wyborców zadźwięczały jako nakaz dla nowego składu Rejonowego Komitetu“.

W związku ze zbliżającym się okresem prac na roli, poszczególne kolektywne gospodarstwa przystąpiły do remontu traktorów i narzędzi rolniczych, jak o tym czytamy w jednym z licznych artykułów takich dzienników jak: „Komsomolskaja Prawda“, „Trud“, „Socjalisticzeskoje Ziemledielie“.

„Zajrzyjcie do stacji traktorów w Starodębach. Młodzi traktorzyści już przygotowali swoje maszyny i przyczepny inwentarz. Plan remontu traktorów wypełniono w 150 procentach. Inicjatorem współzawodnictwa w terminowym ukończeniu remontu była Maja Pestun, sekretarka stacji traktorów. Do współzawodnictwa wciągnęła ona 13 traktorzystów, spośród których najlepszy traktorzysta tow. Aronow nie tylko pierwszy ukończył remont swego traktoru, ale pomógł również swoim kolegom“.

PRZEMYSŁ

Na odcinku przemysłu w dalszym ciągu rozwija się akcja oszczędnej gospodarki warsztatami, narzędziami, materiałem oraz umiejętnym wykorzystywaniem energii elektrycznej i wszelkiego rodzaju paliwa, jak to podaje jeden z artykułów prasy:

„Stalingrad. Akcja rozpoczęta przez młodzież fabryczną w walce przeciw marnowaniu urządzeń i materiału jest podchwycona przez szeregi pracowników licznych przedsiębiorstw miasta. Młodzi robotnicy „Czerwonego października“ wyszukują coraz to nowsze możliwości oszczędzania. Młody palacz Barowikow mówi:

— My w całości podtrzymujemy poczynania Piotra Dajcewa. On umiejętnie obchodzi się z piecem, śledzi surowo ilość użycia ropy. W pierwszych dniach mojej pracy przekonałem się, że można również oszczędzać i w dziale odlewniczym. My z kolegami w każdą zmianę dajemy o 6—8 ton stali więcej, oszczędzając jednocześnie dużą ilość ropy“

W walce o oszczędność i dbałość biorą udział robotnicy różnych zawodów:

„Pierwotnie przy obróbce odlewów pracowało czterech robotników. Tu jest pracy dla dwóch — pomyślał robotnik Katrun i ze swoim partnerem oświadczył zmianowemu majstrowi, że pracę tę mogą wykonać we dwóch“.

Gazetki ścienne też są używane do propagowania tej akcji wskazując na konkretne wypadki, a mianowicie:

„Od dnia dzisiejszego gazeta będzie sprawdzianem porządku. Czy nie zapomniałeś po pracy uporządkować swojego warsztatu? — zapytywał plakat“.

Następnego dnia kolejny numer gazety zawierał karykatury tych leniwych, którzy nie dbają o porządek ani na swoim warsztacie, ani w obrębie oddziału.

„Zwrócono też uwagę, że robotnicy tracą dużo czasu na poszukiwanie sprawdzianów, a nie mając ich pod ręką robota jest wykonywana „na oko“, wskutek czego, wykonana w ten sposób, część staje się bezwartościową. Postarano się więc aby administracja zaopatrzyła robotników w potrzebną ilość takich instrumentów, sprawdziła istotną ilość posiadanych oraz odremontowała zużyte mikrometry.

Oddział remontu tych instrumentów tak był dotknięty w swojej ambicji, że w wyniku wzmożonego tempa pracy w krótkim czasie w jego składnicy nie odmawiano kolegom wydania potrzebnych im przyrządów“.

Na Ukrainie odbudowuje się zniszczony „Kriworożstroj“. Zarządzający tymi trustami tow. I. I. Stiepanow podaje w jednym z artykułów „Komsomolskiej Prawdy“:

„Kriworożski basen żelaznej rudy to perła sowieckiej Ukrainy. Dostarcza bowiem on rudę dla metalurgicznych fabryk Południa. Kolektyw budowniczych pracował w 1947 roku bardzo wydajnie. Odbudowane zostały i uruchomione większe kopalnie: im. Ordżonikidze, Gigant, Centralna im. Kaganowicza i zbudowana została nowa im. Karola Liebknechta. Zakończone zostały również prace przy odbudowie fabryki urządzeń górniczych „Komunist“. Fabrykę tę doprowadzono do stanu przedwojennego. Trust ten poświęca również dużo uwagi budownictwu kulturalno-oświatowych ośrodków. Odbudowano Pałace Kultury dla górników kopalń: im. Dzierżyńskiego i im. Karola Liebknechta, zbudowano dwie szkoły i ukończono pierwszy etap budowy Instytutu Górniczego. W budowie gmach, przeznaczony dla górniczej szkoły technicznej.

W okręgu Krzyworożskim ukończono odbudowę obiektów mieszkalnych. W chwili obecnej są w budowie domki jednorodzinne. W pierwszym kwartale tego roku będą one przydzielone budowniczym i monterom. Przy kopalni im. Kaganowicza zbudowano osiedle dla młodych robotników. W fabryce „Respirator“ w miejscowości Orechowo-Zujewo są zbierane i badane wnioski co do zmniejszenia strat przy produkcji. Dotąd wpłynęło już 150 wniosków. Większość z nich została wprowadzona w życie, co dało duży procent oszczędności. Przykładem jest to, że odpadki przy wykonywaniu niektórych części są używane jako surowiec dla wykonania nowych wyrobów“.

Dużą uwagę w chwili obecnej poświęca się w Związku Radzieckim zagadnieniu zmechanizowania pracy. Zagadnienie to staje się nie tylko nowym, ale i decydującym czynnikiem bez którego trudno byłoby utrzymać tempo i zakreślone normy produkcji. Żadną „łyżką“ nie wyczerpie się morza tych zakreślonych prac. Jedynie wszechstronne, obszerne i pełne zużytkowanie osiągnięć nauki i techniki przyczyni się do osiągnięcia jak najdalej idących wyników, pisze o tym niżej podany artykuł „Komsomolskiej Prawdy“:

„Zasadniczy ciężar pracy należy złożyć na barki naszych mechanicznych pomocników, zmusić maszyny i mechanizmy pracować w całości za nas. Taką jest socjalistyczna metoda rozwinięcia wytwórczości, droga do podwyższenia poziomu kulturalno-technicznego klasy robotniczej. Wytwarzając dziś więcej niż wczoraj, a jutro więcej niż dziś, opanowując kulturę pracy według nowych form — robotnik staje się rutynowanym, obeznanym kierownikiem swego działu, któremu będą podlegać całe kompanie i bataliony mechanicznych „rąk roboczych“.

Rok 1948 jest decydującym! Socjalistyczne współzawodnictwo rozgorzało, a samo współzawodnictwo doby obecnej to przede wszystkim walka o wprowadzenie w życie nowej techniki, przyśpieszającej i ulepszającej pracę, walka o jak najszybsze i najlepsze opanowanie tej techniki. Specjalnie wielką rolę dalszego zmechanizowania pracy odegra to w takich przemysłach, jak: górniczy, metalurgiczny, leśny, budowlany.

Więcej maszyn mechanizmów dla kopalń, fabryk, ośrodków obróbki drzewa i dla budownictwa.

SZKOLNICTWO

W stolicy Związku Radzieckiego odbył się zlot „Młodych podróżników“. Wielkie ożywienie panuje w salach Domu Inżyniera i Technika. Dzieci chodzą od stoiska do stoiska, czytają dzienniki podróżnicze, z wielkim przejęciem roztrząsają zagadnienia kto lepiej wykonał makietę, rysunek, mapę. Są to delegaci z różnych stron Związku Radzieckiego, którzy w liczbie 287 reprezentują ogólną liczbę trzech milionów członków i o wyczynach których będą opowiadać na zjeździe. „Komsomolskaja Prawda“ podaje:

„Podróże w 1947 roku były nadzwyczaj różnorodne. Wykopaliskami archeologicznymi zajmowali się pionierzy z Syberii. Młodzież z Moskwy przestudiowała pierwsze linie obronne stolicy z okresu Wielkiej Wojny Ojczyźnianej. Na Krymie młodzież szkolna notowała opowiadania partyzantów, zbierała intensywnie i zapisywała legendy, przysłowia i zagadki. Młodzież ta przywiozła również z tych wycieczek kilkaset albumów „zielnika“ jako dar dla innych szkół. Uczniowie z Orłowa odbyli siedem wypadów do miejsca urodzenia Turgieniewa. Pionierzy kemerowscy odkryli w swoim rejonie pokłady miki i granitu.

W lecie w 1947 roku działtwa wykazała takie zainteresowanie się turystyką i taki zapał przy różnego rodzaju poszukiwaniach i obserwacjach, że jedna tylko uralska organizacja dziecięca „Globus“ przyjęła w swe szeregi 8.500 dzieci. Jednak nie wszędzie umiano tak pociągnąć działtwę i zainteresować pożytecznymi i ciekawymi sprawami. Czasami daje się również zaobserwować pociąg do bardzo dalekich wycieczek, nie biorąc pod uwagę, że dzieci nie poznały jeszcze swego kraju, jego naturalnych bogactw i piękna przyrody. Otwierając zlot młodych podróżników sekretarz tow. Michajłow podaje liczbę 3 miliony. Trzy miliony dzieci, zapalonych turystów, studiujących swój kraj, nabierających w tych podróżach nowe siły, zdrowie, wiadomości i hart do zwalczania wszelkiego rodzaju niewygód.

Teraz uczestnicy zlotu winni się zastanowić nad tym jak można będzie organizować nowe podróże w roku bieżącym, aby jak najszersze masy działtwy szkolnej mogły wziąć w nich udział i wrócić z wrażeniami, osiągnięciami i „zdobyczą“ pożyteczną dla szkolnych gabinetów i laboratoriów“.

J. Z.

Towarzystwo Przyjaciół K. U. L.
to trwały czyn katolików
Czy jesteś już jego uczestnikiem?
Lublin, al. Racławickie 14 tel. 23-94 Konto P. K. O. II-153 w Lublinie

Fragment notatnika Chodowieckiego z 1773 r.

1.VI. — Chciałem dostać od komendanta przepustkę na drogę, lecz nie ma go w Berlinie. Odesłano mnie do namiastnika. Nie było go w domu. Byłem u niego jeszcze raz. Popełniwszy kilka błędów w wymowie mojego nazwiska wysłał mnie do miejskiego pisarza Schlichta, ten zaś prosił, abym przyszedł do niego jutro, ponieważ nie miał pod ręką formularzy.

2.VI. — Wziąłem na przeczyszczenie, odebrałem przepustkę. Pan Schlicht powiedział, że sprawa gdańska jest zakończona (pierwszy rozbiór Polski — przyp. tłum.). Gdańszczanie zachowali swą wolność, a król (pruski) w zamian za to otrzymał dwa województwa. P. Hovelas zapewnił mnie, że najpóźniej po 10—12 dniach będę w Gdańsku.

3.VI. — O siódmej wyjechałem z Berlina, pożegnawszy się z bratem. Dałem mu zlecenie Gotzkowskiego. Lehmanowi zapłaciłem komorne. W południe przybyłem do Werneuchen, napiłem się kawy, koniowi dałem 1,5 miarki owsa i trochę siana. Odjechałem o trzeciej, a o piątej przybyłem do Leimbergu. Trzy kwadranse odpoczynku, o wpół do ósmej wykąpałem się w uzdrowisku Freienwalde. Zatrzymałem się na noc przy aptece. Na kolację zupa, chleb z masłem i serem. Koło południa, głównie jednak wieczorem, trochę padało. Policzono mi za 4 miarki owsa, choć koń zjadł prawdopodobnie 2,5.

4.VI. — Śniadałem o wpół do szóstej. Odjechałem do Chojny. Przeprawa przez Odrę. Koń bał się promu. Gdy przypłynął zsiadłem i przejechałem pieszo. Schodząc z promu spotkałem pocztyliona, który konno wracał do Chojny. Krótko jednak przebywaliśmy razem. Był bardzo gadatliwy i zaczepiał każdego napotkanego. Przejechałem trzy wsie nad Odrą, potem wróciłem do szosy.

O jedenastej przybyłem do Chojny, dobre 4 mile. Napiłem się kawy, potem kazałem dać koniowi miarkę owsa i duży kawał chleba oraz flaszkę piwa. Chojna jest to dosyć duże, ładne miasto z wieloma starymi kościołami i równie starymi bramami miejskimi. O wpół do czwartej odjazd. Przejechałem wiele wsi i o siódmej dojechałem do Bań. W porównaniu z poprzednim bardzo mizerne miasto. W następnej wsi chciałem się zatrzymać. Przybyłem o ósmej do dzielnych ludzi. Na kolację jajecznica. Koń zjadł 2,5 miarki owsa i dwa kawałki chleba, wypił flaszkę piwa.

7.VI. — Wyjeżdżając z Płotów miałem zamiar dotrzeć do Koszalina, lecz deszcz skłonił mnie do pozostania w Korlinie, oddalonym o 3 mile od Koszalina. Gdy przestało padać, chcąc możliwie jak najdalej zajechać, o trzy na szóstą wyruszyłem znów w drogę, gdy mój koń zjadł 3,5 miarki owsa i chleb. Skoro tylko znalazłem się w otwartym polu zaczął padać ulewny deszcz. Nigdy w życiu niewidziałem czegoś podobnego. Także mój koń był niespokojny, obracał się wkółko, rzucał się to na tą, to na tamtą stronę i chciał zawrócić. Gnana burzą nadeszła nad nasze głowy bardzo czarna chmura i prawie zupełnie zabrała nam światło. Zawinąłem się w pałszcz, lecz czułem jak woda ścieka powoli po moim ciele. Prosiłem paru żołnierzy, których spotkałem pod drzewem, aby mnie lepiej owinęli. Próbowałem potem jechać dalej, stępa lub truchtem. Wszędzie spotykałem żołnierzy. Kawałek drogi jechałem z nimi, potem pognałem swego konia truchtem i opuściłem ich na brzegu wielkiego lasu, przez który musiałem jechać, na milę przed Koszalinem.

Widziałem przed sobą dwu jeźdźców, których starałem się dogonić, co mi się też udało. Byli to chłopi z Trzebiatowa nad Regą, którzy udawali się do Gdańska, aby tam kupić konie. Młodszy z nich wyglądał na trzydziestoletniego, był trochę otyły, o miłej i niegłupiej twarzy. Miał na głowie mały, okrągły kapelusz, na sobie kurtkę z szaro-brązowego materiału, coś w rodzaju drelichu, na nogach buty i pończochy, a jechał na małym, idącym dobrym truchtem koniu z dobrym siodłem i plecioną uzdą. Drugi wyższy i chudy, miał wygląd jezuity, czarno ubrany, mniej rozmowny a bardziej skryty niż jego towarzysz. Jechał na czarnym koniu z taką samą uzdą co pierwszy. Oba konie były dobrze odżywione, miały niesztywne kolana i grube łby.

W rozmowie postanowiliśmy całą drogę przebyć razem. Po przebyciu dwu mil, o ósmej wieczorem, byliśmy w Koszalinie. Postanowiliśmy tu przenocować. Postawiłem swego konia w stajni, oni zaś wysłali swoje na pobliskie pole. Zawsze tak robili. Jest to praktyczny sposób podróżowania, który mało kosztów i mało trudów przysparza. Zjadłem zupę mleczną i 6 jajek na twardo, spałem na słomie z dwoma chłopami i jakimś obcym człowiekiem.

8.VI. — Wstałem o wpół do czwartej. Koń jeszcze leżał, dałem mu miarkę owsa, której nie zjadł. Gdy po raz drugi poszedłem do stajni, znów się położył. Dałem mu jeszcze trochę chleba i wyjechałem wpół do szóstej. Przejechałem Koszalin. Piękne miasto, posiada ładny, duży rynek, ozdobiony wykutym w kamieniu posągiem króla, stojącym na cokole ozdobionym herbami. Stąd do miasteczka Canowa a potem dalej przez Sławno. Postanowiłem tu przenocować i dać mojemu koniowi wypocząć, gdyż był bardzo zmęczony. Sławno jest pięknym miasteczkiem z pięknym rynkiem. Przybycie do Sławna o wpół do piątej. Napiłem się kawy, zjadłem dobrą zupę szparagową z kawałkiem mięsa, kotlet cielęcy i śliwki. Napisałem do Berlina i położyłem się spać. Przedtem jeszcze dałem paszę koniowi i oczyściłem go. Gospodarz, który służył w pułku Belling, dał mu chrzan, aby pobudzić jego apetyt, lecz bez wyniku. Wymoczyłem sobie nogi.

9.VI. — Wstałem o czwartej, napasłem konia i o wpół do szóstej odjechałem do Słupska. Piękne, wielkie, bardzo zaludnione, handlowe miasto. Ma dużo wielkich kościołów. Mieszkańcy jego są mili. Wypiłem kawę i o jedenastej pojechałem dalej. Gospodarzowi, będącemu zarazem kupcem, spodobał się mój koń. Zapytał o cenę. Powiedziałem mu 8 luidorów. Pokazał mi swojego, małego Litwina, gniadego ogiera, dobrze jedzącego i silnego. Zaproponował mi zamianę i spytał ile mógłbym do niego dodać. Postawiłem takie samo pytanie i rozeszliśmy się. Za Słupskiem spotkałem jeszcze wielu żołnierzy i mały, odkryty wóz, powożony przez starego człowieka, a ciągnięty przez starego konika. Przejechawszy przez wiele wsi dotarłem do Łupawy.

W międzyczasie zatrzymałem się w pewnej kaszubskiej wsi, gdzie nie mogłem dostać ani owsa, ani ziarna, ani chleba. Po wielu próbach przyniosła mi kobieta jedną skibeczkę. Nędza tu była wielka, lecz mimo to dostałem trochę siana, które jednak nie było dobre. W gospodzie spotkałem obu trzebiatowskich chłopów, lecz odjechali przede mną. Gospodarz domu miał całkiem powykrzywiane nogi.

10.VI. — Następnego ranka kazałem sobie zagotować kawę i wyjechaliśmy o piątej. Przejeżdżaliśmy przez liczne wsie kaszubskie, z których jedna była nędzniejsza od drugiej. Wspinaliśmy się na pagórki, schodziliśmy w doliny i długo męczyliśmy się na złych drogach. Około pierwszej przybyliśmy do pewnej wsi, gdzie w karczmie niczego nie dostaliśmy. Zwróciliśmy się do postmistrza, który się wykręcał, w końcu jednak dał owsa, dobrą piwną zupę, kawałek zimnego, ugotowanego mięsa i pierwszorzędny chleb z Wrzeszcza, z masłem i serem elbląskim. Na drodze jakaś kobieta ofiarowała nam na własność dziecko, twierdząc, że je znalazła. Ślązak (właściciel spotkanego poprzednio wozu — przy tłum.) obiecał je zabrać w drodze powrotnej i zawieźć pewnemu bezdzietnemu człowiekowi, który pragnął mieć dziecko.

Wyjechawszy z tej wsi osiągnęliśmy o drugiej wioskę oddaloną od Gdańska tylko dwie mile.

11.VI. — Odjechałem o piątej. Ślązak mnie wyprzedził, dogoniłem go w pobliżu Oliwy. Jest to piękna miejscowość z klasztorem, wieloma kościołami, licznymi domami mieszkalnymi. Odtąd po prawej ręce ma się las i należące do klasztoru domki wiejskie, po lewej na horyzoncie morze z wieloma okrętami, przed sobą widzi się Wrzeszcz. Gdyśmy tam przybyli, ujrzeliśmy szlaban z pruskim orłem, pruski posterunek i pisarza granicznego, który wypytywał Ślązaka, nie sprawdzając jego papierów. Pożegnałem się ze Ślązakiem i pojechałem do miasta przez Wrzeszcz, który jest podobny do ładnego miasta, gdzie wszystko zawsze znajduje się w drodze do Gdańska lub z Gdańska. Widziałem jeszcze dwa orły, jednego na urzędzie celnym, drugiego na sklepie tytoniowym. Na końcu był szlaban i posterunek.

Stąd dochodzi się do dobrze utrzymanej i wysadzonej młodymi drzewkami alei, która po obu stronach ma chodniki dla pieszych, a w środku drogę dla koni. Na początku tej alei spotkałem gdański posterunek, który miał dosyć smutną minę. Na prawo, na pagórku, widać szubienicę, dalej biały domek, w którym zbrodniarzom podaje się ostatni napój. Potem przechodzi się koło Biskupiej Góry, a w końcu wzdłuż cmentarza Bożego Ciała do bramy Oliwskiej. Oficer na warcie, który pytał się o moją osobę, zajęcie i mieszkanie, powiedział mi, że mnie odwiedzi, gdyż jest przyjacielem malarstwa. Wjechawszy przez Wysoką Bramę skierowałem się na prawo w stronę Wałów Podmiejskich i zatrzymałem się w karczmie „Jedna Korona".

23.VI. — Odwiedziłem intendenta, kapitana Gellentina, który maluje miniatury. Człowiek 50-letni. Ma zwyczaj szkicować twarz na pergaminie. Taki szkic może być bardzo podobny, lecz portrety robione z niego są nic nie warte, sprawiają wrażenie zimna i wymyślności, chociaż stosuje silne cienie, a w rysunku ogranicza się do rzeczy najpotrzebniejszych... Poza tym jest on także geometrą i w tym charakterze zarobił przedtem dużo pieniędzy, rysując przez wiele lat liczne mapy kanału portowego z zaznaczeniem różnic w głębokości wody i rozciągnięciu się ławic piaszczystych, spowodowanych morzem. Pokazał mi jeszcze parę sztychów Bouchera i Bausego. Widziałem u niego także moją „Bitwę Chocimską". Gdy odchodziłem spytał się mnie czy nie ma w Berlinie jeszcze jednego Chodowieckiego, który malował pana Uphagena. Powiedziałem mu, że to byłem ja. Bardzo się ucieszył i powiedział, że nader ceni sobie ten obraz.

7.VII — Bonmot: Gdy król (pruski) spytał się prymasa (Polski) dlaczego nie jest w Polsce, ten mu odpowiedział: „Sire, moje zdrowie wymaga bym stale oddychał wolnym powietrzem".

Pewnego dnia król odchodząc powiedział do prymasa: „Proszę modlić się za mną do Boga, abym poszedł do raju (po niem. Paradis — przyp. tłum.). Prymas, który miał majątek Paradis w ziemi zdobytej przez króla (w pierwszym rozbiorze Polski — przyp. tłum.), odpowiedział: „Odkąd Wasza Królewska Mość jest w posiadaniu Paradisu, nie mam tam już nic do gadania".

W Oliwie tak mówił mi mnich o obecnych zdarzeniach (Oliwa w pierwszym rozbiorze dostała się Prusom, choć Gdańsk pozostał przy Polsce): „Król pruski daje nam dzielnych żołnierzy, którzy będą pilnować, aby nikt nie wziął nam tego, co nam zostawiono".

17.VII. — O dziewiątej przyszedł chevalier, aby się spytać, czy mógłbym i czy chciałbym zrobić kopię hrabiny Podoskiej. Odpowiedziałem, że jeśli będzie spokojny to mu ją przygotuję. Za jaką cenę? Zażądałem 8 dukatów. Potem mówił jeszcze o swoim portrecie, za który chciał zapłacić 6 dukatów. Zdaje mu się, że jeśli prymasa maluję za 10 dukatów to innych powinienem zrobić za 5 dukatów. Odpowiedziałem mu, że zamiast pracować za taką cenę wolę włożyć nogę w strzemię i ulotnić się czym prędzej.

O wpół do dziesiątej byłem u panny von Dürren, której wczoraj na nalegania mojej siostry kazałem powiedzieć, że przyjdę. Umówiliśmy się, że zacznę jutro o wpół do dwunastej.

Stamtąd znów poszedłem do domu i pracowałem jeszcze trochę nad zaczętymi portretami. O jedenastej udałem się do prymasa, by dalej pracować nad portretem hrabiny Podoskiej, która po wizycie u panny Dürren wydała mi się mniej nieprzyjemna. Był tu rezydent francuski i pragnął zobaczyć portret generałowej Czapskiej, gdyż, jak powiedział, różni ludzie wydawali sprzeczne sądy na temat jego podobieństwa. Ujrzawszy go zapewnił, że jest podobny, tylko dolna część twarzy powinna być węższa. Odszedłem o pierwszej, choć pani Omchen (gospodyni prymasa — przyp. tłum.) zaprosiła mnie do stołu. Wytłumaczyłem się tym, że jadłem już w domu.

O wpół do drugiej udałem się do pani Czapskiej i powtórzyłem jej co powiedział mi rezydent francuski, pan Gerard. Gdy przestałem malować, na podróżnym fortepianie, złożonym z 4 części, zagrała mi menueta, który ma być jej własną kompozycją. Gra z wielkim smakiem, ma lekkie uderzenie.

Opuściwszy ją udałem się do hrabiego Podoskiego, lecz zabierając się do malowania zauważyłem, że zapomniałem pędzla i musiałem pobiec po niego. Mówiliśmy wiele o polityce i moralności. O tym, co nie tyczy kraju nie jest on dobrze poinformowany. Wcale nie zalicza się do rojalistów i twierdzi, że jest nieszczęściem dla kraju, jeśli na tronie siedzi Piast, gdyż nie ma tylu zwolenników co obcy książę, a obsadza wszystkie urzędy swymi krewnymi, co innym przeszkadza w karierze. Zjawiła się pani hrabina, aby zobaczyć portret. Sądzi, że dziś lepiej się przedstawia niż wczoraj. Wzięła go z sobą, by pokazać towarzystwu u prymasa. Odniesiono mi go wkrótce. Hrabia pytał się (o ile mogłem zrozumieć z ust tych, którzy odnieśli portret), jak się podoba. Odpowiedziano mu: Bardzo dobrze, Bardzo podobna (w tekście po polsku). Wróciłem do domu i próbowałem pracować nad portretem hrabiny Czapskiej. Siostra Luiza dała mi 100 talarów, abym je złożył w banku dla Antoniego. Po dłuższej wymianie zdań — przyjąłem.

Tłum. **Edward Martuszewski**

W świecie...

NIEWINNI

Niedawno zapadło skandaliczne orzeczenie wojskowych sądów amerykańskich działających w Niemczech — w świetle którego zostało oficjalnie stwierdzone prawo Niemców — a więc zapewne prawo ogólne — do rozstrzeliwania partyzantów działających na tyłach wojsk nieprzyjacielskich w danym wypadku niemieckich. Tym samym sąd amerykański niejako uznał prawo Niemców do rozstrzeliwania i likwidowania członków polskich ugrupowań podziemnych oraz żołnierzy - powstańców Warszawy.

Po tej decyzji — konsekwentnie zapadły dalsze. — Sąd norymberski po czteromiesięcznym procesie uniewinnił Alfreda Kruppa i jego 11 dyrektorów z zarzutu popełniania zbrodni przeciw ludzkości przez przygotowywanie wojny. — Mimo jawnych i oczywistych dowodów dostarczonych przez Polską Misję Międzynarodowy Trybunał działający w Niemczech, w strefie brytyjskiej w miejscowości Herford, skreślił premiera Dolnej Saksonii Wilhelma Kopfa z listy zbrodniarzy wojennych. Polska domagała się wydania Kopfa będącego za swe zbrodnie popełnione na stanowiskach urzędowych na Śląsku wciągniętym na listę zbrodniarzy wojennych. — Szereg tych faktów składa się na pewien system.

PALESTYNA SPŁYWA KRWIĄ

Sprawa Palestyny zaczyna być coraz krwawszą plamą światowego sumienia. Nieustanne i ciężkie walki między Arabami i Żydami toczą się bez najmniejszej przerwy. Próby rozejmu Żydowsko - Arabskiego podejmowane ostatnio — spełzły na niczym. ONZ nie potrafi zmusić Arabów do respektowania swych decyzji. Gorzej — jedno z państw — sygnariuszy uchwały ONZ o podziale Palestyny — Stany Zjednoczone dążą obecnie do modyfikacji tej uchwały, przez objęcie przez ONZ powiernictwa nad Palestyną. Powiernictwo ONZ — gdy ten sam ONZ nie potrafi przymusić Arabów do respektowania jego uchwał — jest fikcją, będącą jakąś próbą formalnej dobrej miny w fatalnej grze. Półśrodkami w sprawie Palestyńskiej nie osiągnie się żadnego rezultatu.

ZSRR — FINLANDIA

Pomiędzy ZSRR i Finlandią podpisany został 10-letni pakt przyjaźni, współpracy i wzajemnej pomocy. Słormułowaniem tego paktu jest wyraźne stwierdzenie, iż wzajemna pomoc militarna obowiązuje w wypadku jeśli jedno z państw stanie się objektem agresji Niemiec lub któregokolwiek sprzymierzonego z nimi państwa.

Krótki Katechizm Rz.-Kat.
Najtańszy i najbardziej nadający się dla dzieci i młodzieży;

Nabożeństwo Różańcowe,
zawierające opis cudów w Fatima, akt poświęcenia Niepokalanemu Sercu Marii Panny, praktykę pięciu sobót wynagradzających i dwa sposoby odmawiania Różańca;

Tajemnice Żywego Różańca
wysyła paczkami za pobraniem lub po wpłaceniu na konto P.K.O. Łódź VII—608

Ks. Dr Win. Helenowski
Gostynin, woj. Warsz.

Czytajcie
„SŁOWO POWSZECHNE"

Naturalizm otworzył w pisarstwie szeroką drogę, każdy mógł teraz pisać, skoro literatura przestała być polem krasomówstwa i inspiracji. Choroby umysłu, rzeczy ciekawe z ulicy, sceny wiejskie, obyczaje rodziny — wylicza Champfleury — mogą się stać osnową powieści. Modernizm jako reakcja przeciw klasycyzmowi, przeciw stylowi retorycznemu, umocnił ten przewrót literacki, zarazem jednak, od czasu Baudelaire'a i Goncourt'ów, postawił problem nowego duchowego pokarmu, problem najwyższej wartości. Powstawała kwestia już nie stanowisk, jak w dobie afery Dreyfusa i zdrady klerków, lecz kwestia tworzenia wiary, znalezienia wiary literackiej. Czym jest wiara literacka, nade wszystko czy jest czymś odrębnym w stosunku do współczesnych prądów umysłowych? Trudno byłoby niewątpliwie znaleźć różnice w samym pokarmie, w osnowie. Wiara literacka, jeżeli takim niedokładnym pojęciem wolno się posługiwać, jest z jednej strony systemem konwencji, utartych sposobów widzenia i wyrażania, z drugiej — szuka odniesień w przekonaniach epoki, w ideologiach epoki.

Na przełomie XIX i XX stulecia dotychczasowa postać wiary literackiej wyraźnie się wyczerpuje, dzieło Prousta stanowi nie tylko krok naprzód jako odwrót powieści od dotychczasowych konwencji, ale i otwiera, a właściwie pogłębia okres niepokoju. Jest to okres zniszczenia czasu. Czas jest socjalną pamięcią, nie tylko zwyczajem, ale i formą łączności kultur. Zniszczenie czasu stanowi najsilniejsze podkreślenie zerwania z przeszłością.

W powieści europejskiej już od lat 1890 pojawia się rodzaj eksperymentowania a la Bacon, gdy chodzi o znalezienie nowej formy. Paul Adam w „Le Temps et la Vie", Jacques de Lacretelle w „Hauts Pauts", Duhamel w „La Chronique de Pasquier", wreszcie Proust w swój niewątpliwie rewolucyjny sposób są we Francji na linii kontynuacji Balzac'a. W Anglii Galsworthy, w krajach skandynawskich Hamsun w swoich dwu cyklach, w Niemczech Tomasz Mann w „Buddenbrookach" podejmują tę formalną kontynuację. Brak jej tego, co stanowiło siłę Balzac'a: inspiracji społecznej. Bo koniec stulecia żył innymi pokarmami, niż początek, nie miał ani tego rozmachu dorobku, ani tego optymizmu, co świat Balzac'a. Przeciwnie, przeważa niepewność jutra, istnieje grunt dla pesymizmu, który towarzyszy zawsze stanom rozkładu. Dobry świat sprzed 1914 roku, świat liberalnej demokracji i laisser-faire, skończy się niedługo w oparach wojny. Świat, skonstruowany jako wyraz potrzeb produkcji, dusił się w jej mechanicznych kleszczach, w jej wynalazkach, które dawały tyle narzędzi wytwórczych.

We Francji w tym okresie brak jest prawodawców tak powszechnie w dziedzinie umysłowej uznanych jakimi w poprzednim okresie byli Taine i Renan. Gdy wybuchnie wojna 1914 r., powstaje nadzieja, że wojna da Francji nową wspaniałą literaturę. Lecz i po wojnie nie ma „Iliady", jest tylko surrealizm, rewolucja techniczna literatury, która nie przyniosła tego, co zapowiedziała.

Powieść staje się coraz bardziej elastyczna, przybiera formy coraz bardziej indywidualizujące. Zrywa coraz częściej z tradycjonalną konstrukcją, nie mówiąc o tradycyjnym typie fabuły. Rozwija swą inwencję w drobnych szczegółach, obarcza się epizodami, małymi historyjkami, ale duchowa władza wymyka się z rąk literackiego światka. Brak koncepcji życia, brak ostatecznych odpowiedzi...

Ratunek przed tym brakiem istnieje albo przez nawiązanie do poglądów na świat, dających taką koncepcję, pozwalających na stworzenie charakteru, na kreację bohatera — jak u Mauriac'a, albo u Malraux, bądź wreszcie w przedsięwzięciu poszukiwań na własną rękę.

Omdlenie powieści po roku 1790 nie pozostaje bez wpływu na jej formę. Już u Anatola France'a, pod doskonałą jak u parnasistów szatą formalną, widać mitologizację rzeczywistości, nawet tam, gdzie jak w „Pierścieniu z ametystem" na plan pierwszy wydobywa się obserwacja społeczeństwa i obyczaju. To, co dziś jest dla nas mitem, pisał Carlyle, kiedyś było istotną wiarą. Świat Homera wierzył w bezpośrednią interwencję bogów pod Troją; przygody Eneasza są dla nas formą literacką, kiedyś wierzono w nie jako w fakty, które na pewno miały miejsce. Inny jest charakter i geneza powieści-mitu. Rodzi się ona bez udziału wiary, rodzi się jako próba ściśle estetyczna, ściśle intelektualna. Nie jest konstrukcją, wypływającą z prawdy, z przekonania, lecz opiera się na prawdopodobieństwie estetycznym wyłącznie. Nie dając koncepcji życia, daje techniczną koncepcję literacką, koncepcję estetyczną — jak w „Lochach Watykanu" André Gide'a, jak w jego „Fałszerzach", jak w „Belli" Giraudoux.

Mallarmé, nie mając nic, co można by było opiewać, mógł ocalić istnienie poezji i pogłębić jej znaczenie, oczyszczając język poetycki Powieść żyje jednak przede wszystkim pokarmem, który bierze z zewnątrz, spoza siebie, nie może się ograniczyć do sfery „formy czystej" pod grozą pustyni i jałowości. Jeżeli powieściopisarza przeraża widmo niepewności, musi on i wtedy dać gatunek tej niepewności, dać jej krew i ciało. W powieści wszystkie sprawy są abstrakcją tak długo, jak nie żyją poprzez ludzi, jak nie są ich sprawami. Nie mogą być ukazane inaczej, jak czyjeś pasje, jak czyjeś doznania, jak czyjeś męki. W przeciwnym wypadku jest wata, referat. Nic więcej.

Poszukiwanie pokarmu tłumaczy genezę zainteresowania Francji i Niemiec w przełomie stulecia Dostojewskim i literaturą royjską. „Tentation russe" była, z innej strony rzecz biorąc, dowodem, że hegemonia literacka Balzac'a i Stendhala w końcu stulecia przenosi się na wschód. Jeżeli, mimo wszystko, wpływ royjski przybrał formę „tentation", a nie wycisnął na powieści europejskiej decydującego piętna, sprawił to nie rok 1917, lecz zasadnicza rozbieżność kultur wschodu i zachodu, rozbieżność, której świadomi byli i „zachodnik" Turgeniew i do głębi, do końca rosyjski Dostojewski.

Zagadnieniem, które można by określić jako naczelne, gdy chodzi o konflikty duchowe z końca XIX w., było schopenhauerowskie przeciwstawienie intelektu i woli. Gdy literatura separowała się od sfery praktycznej, od rzeczywistości życia, gdy podkreślała, że nie jest w stanie rozstrzygać, a może tylko omawiać ten konflikt równie bezradna, jak świat laików, głos Nietsche'go, składający nacisk na wolę, na moc nadczłowieka, rozległ się u kresów stulecia jak głos proroka. Nietsche zmienił treść pytań, jakie świadomość kulturalna zwykła sobie stawiać. Jego pytanie nie dotyczyło roztrząsania jakiejś absolutnej prawdy, ani zagadki bytu; było proste, lecz rewolucyjne w skutkach — co człowiek może zrobić?

Jeżeli uważa się Bergsona za ojca filozofii czynu, Nietsche ma olbrzymi udział w genezie tych poglądów, które czyn przeciwstawiły myśli i stworzyły tym samym antynomię już nie abstrakcyjną, lecz ściśle praktyczną — słowa i czynu, myśli i czynu. Czyn — to było wręcz inne pojmowanie kultury, w którym czyn spełniał rolę poznawczą. Czyn jako samopoznanie, czyn jako myśl,

Włodzimierz Pietrzak

OMDLENIE

stwarzająca nowe wartości i wtedy tylko poznająca siebie. Był to triumf pragmatyzmu, triumf tych myśli, które zamienione w czyn, dają już nie wolę mocy, lecz moc samą. Jeżeli istnieje pogarda myśli dla czynu, to filozofia czynu opiera się na pogardzie dla myśli. Przypisuje jej bezpłodność i demoniczny eremityzm. Myśl jest do czynu niezdolna, gdyż w czynie widzi swoje ograniczenie, swoje zamknięcie. Myśl pragnie kontynuacji, ale w dziedzinie tożsamości intelektualnej, czyn należy do innej sfery, sfery woli : tam myśl traci nad nim nie tylko władzę, lecz i kontrolę.

Zagadnienie czynu wypełniło apel Brzozowskiego do polskiej inteligencji i zajęło poczesne miejsce w polskim neoromatyzmie. Jak dalece wołanie o czyn sprzyjało rozwojowi filisterstwa, jak dalece będąc modlitwą o działanie, uwalniało od działania — wykazywał Ikrzykowski. Stosunek moralny do czynu odsłania się najpełniej w Irzykowskiego „Snach Marii Dunin", w rocie braterstwa Wielkiego Dzwonu: 1. masz szukać Dzwonu, 2. nie wierzyć w jego istnienie, 3. cofać się w ostatniej chwili przed możliwością jego odnalezienia. Praktyką filozofii czynu dosyć powszechną było unikanie konsekwencji. „Człowiek", który tylko pragnie, nie działa jeszcze i zapładnia zarazę" — mówił William Blake.

Na dnie wiary w czyn, w odświeżającą i tworzącą moc czynu, istnieje przekonanie, że wola jest jedynym „mostem nad przepaściami chaosu", że świat może być stworzony tylko przez czyn jako przewtargnięcie woli w rzeczywistość. Czy tak jest istotnie? Pytanie niniejsze nie jest tylko poruszaniem zagadnień historycznych. Filozofia czynu pokutuje wciąż jeszcze i wciąż jeszcze prowadzi do tej samej niemocy historycznej, do jakiej innymi drogami wiedzie zerwanie z rzeczywistością, separacja myślowa. To prawda, że myśl nie działa, jej substancją jest bowiem myślenie, jest badanie i sąd, który staje się przesłanką woli i tym samym pobudza do działania. Słowo i czyn nie są bynajmniej biegunami sprzeczności, lecz ogniwem początkowym i końcowym każdej postawy wobec życia. Postawa duchowa, jeżeli się przez nią rozumie tylko pewną ocenę, tylko „drabinę wartości" — jak określał Nietsche, jest istotnie niepełna, a człowiek, który by się do ocen tylko ograniczał, z działania rezygnował, przez tę niezdolność do działania byłby niewątpliwie kaleką. Pełny człowiek jednak, w najwłaściwszym rozumieniu humanistycznym, wyraża się nie tylko w ocenie, lecz i w działaniu, co tak silnie podkreślają już Ewangelie i co zarazem może być śmiało uważane za rys głęboko różniący cywilizację Wschodu, kontemplacyjną i pełną pogardy dla ruchu, od cywilizacji Zachodu, która uwzględnia w równowadze pierwiastek intelektualny i woluntarystyczny. Jeżeli intelektualizm klerków był ograniczeniem i dawał kulturalną niemoc, to wyzwolenie człowieka przez czyn (w linii przodków duchowych tego poglądu dochodzi się do Hegla, do jego pojęcia osobowości ludzkiej) prowadzi do równego rozczarowania, do przeświadczenia, że i czyn nic nie daje, nic nie tworzy.

Każde zjawisko złożone budzi skłonność do symplifikacji — i filozofia czynu jest taką właśnie symplifikacją. Rzecz polega na tym, że formuły trzeba przełamywać, trzeba wracać od nich do punktów niespornych, nie budzących różnicy zdań. Symplifikacja jest formą stylizacji, formą redukcji myślowej — i tym właśnie jest groźna, że pomija i to momenty nieraz wcale nie drugorzędnej wagi.

W studium o Dostojewskim André Gide zrobił interesujące spostrzeżenie, że wielcy reformatorzy ludzkości cierpieli tak często z powodów fizjologicznych: Mahomet i Luter byli epileptykami, Pascal kaleką, Nietsche i Rousseau skończyli w szaleństwie. Gide zastrzega, że nie upatruje w tych przypadłościach fizycznych żadnego motywu dla tendencyj reformatorskich, stwierdza tylko współobecność tych zajwisk. Można by jeszcze zanotować uwagę Jules de Gaultier, że działalność reformatorska płynie z tendencji, aby przestać być tym, kim się jest i stać się tym, kim się chce zostać. Niewątpliwie, w filozofii czynu jedno zwraca uwagę: pomija ona legitymację moralną i intelektualną czynu, w czynie samym widzi zawartą normę moralną. W poglądzie tym wyraża się przekonanie, że intencja jest bez znaczenia, że czyn sam stwarza prawo. Będzie to prawo, urodzone z siły, pozbawione innych uzasadnień. O to właśnie idzie: filozofia czynu nie dowierza i nie potrzebuje uzasadnienia dla czynu. Nie krępuje woli, jest pomyślana na miarę nadczłowieka, któremu i tak przecież wolno tworzyć własne prawo, a więc nie liczyć się z prawem cudzym, z prawem dotąd obowiązującym. Pozostawmy jednak na uboczu rodzący się dylemat siły i prawa, przemocy i wolności, przemocy i słuszności.

Dla zrozumienia filozofii czynu podstawowe jest wykrycie lekceważenia dla myśli, przekonanie, że myśl jest niezdolna do aktów celowych. Przekonanie to może być słuszne tam, gdzie myśl wpada w patologiczny paroksyzm, gdzie nie wierzy doświadczeniu, gdzie przestaje wierzyć w ciągłość czasu, gdzie liczy się tylko ze swoim subiektywizmem a la biskup Berkeley. Jest nieuzasadnione jednak,

Ks. Franciszek Błotnicki

Zmącony spokój amery

Niedaleko Chicago jest miasteczko Argo, coś jakby oddalone jego przedmieście, podmiejska kolonia rencistów, ostoja drobnych businessmen'ów, lub start życiowy energicznych, a dopiero w pierwszym pokoleniu rodowitych Amerykanów. Obok ruchliwego życia handlowego, jest tu kilka mniejszych fabryk i dużo, dużo spokojnych, miłych domków z ogródkami. Niewielu tu potentatów finansowych, dość liczna osada robotnicza, lecz ton życiu nadaje drobnomieszczaństwo, zasobne, zadowolone z życia i bardzo towarzyskie. A common man, a worker man, a small business.

Z jedną rodziną w tym miasteczku utrzymuję serdeczną korespondencję - czytam stale prasę tego miasteczka. Zwłaszcza, nieduże, lecz bardzo ciekawie redagowane „Summit Facts" (nakład zaledwie 1.500 egzemplarzy! Główną treść tego pisemka stanowią inseraty i kronika towarzyska (opis uroczystości urodzinowych, ślubów, sprawozdania klubowe, życie stowarzyszeń itp.). Ale są tam też artykuły poważniejsze na temat polityki i gospodarki lokalnej, stanowej i państwowej.

Znam już to miasteczko i życie w nim na wyiot — jest ono dla mnie jakby mikrokosmosem życia amerykańskiego, tego życia przeciętnego codziennego — bez szczytów i padołów. Wiem o każdym z wybitniejszych jego mieszkańców, czym się zajmuje, jak się bawi, a nawet, jak myśli. Ciekawym jest brzmienie nazwisk tego środowiska: Joe Pocius, Phil Lagodzinski, Bill Leonchik, Vince Pisone, Bob Morgan, Jack Borsiuk, Lawrence Rohm, S. Castrogiovanni, Bridget Gleeson, Jim Dimitri, John Rizdy, Patrick Mc Lean, Ben Migas, Michael Metskas, Frank Lambert, Ann Crakovicz, Paul Garside, John Hodalka, Harvey Hubbard, I. Katz, Ronny Calesthenic, George Malek, H. E. Mc Cullough, Geo Dineff, Mrs. Sonopol, Marie Kravisa, Florence Gowgiel, S. Kasak, Iony Oleksy, Lemorse Mallory, Samuel Rosenberg, itd. itd. Cały kalejdoskop.

Do niedawna płynęło tu życie prowincie, wesoło i spokojnie. Ostatnio zaczęło w tym małym światku wrzeć. American Progressive Party! Kij w mrowisku. Common man, worker man, small business — nie tylko jako fakt istniejący, ale jako program i ideał. Namiętni przeciwnicy i namiętni zwolennicy skaczą sobie do oczu. Kłótnie i rozłamy w trade — unionach, dyskusje w klubach, ataki i kontrataki w nielicznej, lecz czupurnej prasie miejscowej, ba — nawet wśród kleru różnych wyznań rozłam. Po stronie Henry A. Wallace'a stanęli: Przewielebny Bernard J. Sheil, Wielebny Hillenband, Wiel. Gaede, Wiel. Folino i rabbi Weinstein. Tak jasny dotąd i przejrzysty obraz szczęśliwego małego miasteczka amerykańskiego zamącił mi się, nie mogę się zorientować, która strona zwycięży, nie w Ameryce, lecz w Argo.

— — — — — —

Czego chce American Progressive Party? Chce być partią „szarego człowieka", którego ideałami są: spokój i pełna wartość dolara. Najbardziej charakterystycznymi przejawami duszy szarego człowieka (common man) nazewnątrz wydały mi się: modlitwa zamieszczona w jednym z pism amerykańskich i piosenka nagrana na płytę gramofonową, a szeroko propagowana obecnie przez Progressive Party. Oba te utwory daję w pełnym tłumaczeniu:

1. „Już dawno temu, jak mówiłem ostatni raz do Ciebie, Panie, wydaje się, iż ilekroć to czynię, jest prośbą o coś. W czasie służby wojennej prosiłem Cię o rychły koniec wojny; po zwolnieniu — o szczęście rodzinne i czasy pomyślne. Teraz znów proszę: czy dasz mi spokój umysłu i serce szczęśliwe? Przywróć mi młodzieńczą wesołość, potrzebę tańca i okrzyku; wypełnij pustkę duchową, jaką odczuwałem tak mocno czasu wojny — zdala od domu. Widzę świąteczne podarki i słyszę dźwięki dzwonów, lecz — znowu mówi się o wojnie, a gazety piszą nawet, że wojna wcale jeszcze ukończoną nie została!

POWIEŚCI

gdy myśl liczy się z obiektywnymi prawami. Istnieją prawa obiektywne psychologii tam przynajmniej, gdzie psychologia zahacza o naszą biologiczną budowę, o naszą przyrodniczą konstrukcję. Nie ma praw niezłomnych w socjologii, w historii, w humanistyce, to prawda, istnieją tylko siły ciążenia. Ale istnieją prawa psychofizjologii — i one tworzą związek myśli i czynu, tworzą z nich to, co Francuzi nazywają couple. Psychofizjologia daje podstawę rozwoju w ciągu humanistycznym i pozwala w sprawach tak zasadniczych znaleźć punkt kontrolny.

Z obaleniem filozofii czynu pada i nadzieja, że czyn jest jedyną wartością wychowawczą i jedyną siłą, tworzącą nowe formy historyczne. Słuszniejsze byłoby powiedzieć, że czyn jest na służbie myśli, ale wykonując to, co ona mu podsuwa, natychmiast stwarza dla niej nowe problematy, nowe zagadnienia, które domagają się decyzji — i nowego czynu. Każdy czyn indywidualny jest poprzedzony myślą, choćby był nią instynkt, który niczym innym nie jest jak zautomatyzowaną myślą i doświadczeniem wielu pokoleń. W tych warunkach wiara w moralne możliwości czynu, w jego wartość wychowawczą, odnosi się do myśli, która go przygotowała. Gdyby jednak nadzieja w możliwości czynu do niego się wyłącznie odnosiła, w nim wyłącznie widziała źródło wartości, to byłaby to przynajmniej gra w loterię. Czyn zawsze zawiera w sobie moment ryzyka: może dać skutki inne niż te, których się spodziewaliśmy.

Zarazem, czyn osłabia znaczenie i odracza niejako termin odpowiedzialności intelektualnej. Skoro czyn ma rozstrzygnąć, myśl nie potrzebuje natężać wysiłku, sprawa zostanie rozstrzygnięta bez jej udziału, a rola myśli zacznie się dopiero po czynie, w ramach zleconego jej mandatu, mandatu funkcji wykonawczych i porządkujących. Tak powstaje filisterstwo, które jest właśnie oznaką jałowości i niemocy czynu: nie potrzeba wykonywać wysiłku, wystarczy powoływać się na nadzieję, na udział w nadziei. Filister — to ktoś, kto się przyznaje do udziału w jakichś wartościach, do których nie ma praw moralnych. Ale filister nigdy nie wie, że nie ma prawa: swoją nadzieję poczytuje za uprawnienie. Czyn jest przyśpieszeniem myślenia, stwarza to, co myśl chciałaby widzieć. Jeżeli nie ma myśli, jeżeli nie ma rozkazodawcy, moment czynu nie jest związany terminem, może się dowolnie przesuwać. Kto pragnie, ten jeszcze nie działa. A w bardziej zwyczajny sposób: dobrymi chęciami piekło brukowane.

Czyn uwalnia od myślenia Biorąc sprawę z punktu widzenia genetyki, Irzykowski słusznie wskazał, że czyn był krzykiem ostatecznym nagiej dekadenckiej duszy. Odsunięta od dziejów, pogrążona w samotność, naga dusza nie miała już czym żyć i domagała się bohaterstwa. Bohaterstwo stawało się dla niej rodzajem czeku, zobowiązaniem z odroczonym terminem płatności. Czyn nie zawsze jest podobny do zamiaru, oto jego ironiczne ryzyko.

Feldman nawoływał do nawrotu do romantyzmu, inni spodziewali się wiele po chłopach — a la Rydel, wyśmiany w „Weselu". „Naga dusza" oczekiwała, że czynu dokona za nią kto inny. Podziwiając urok cnoty, nie praktykowała jej na codzień. Ci wszyscy, którzy chcą uderzać w czynów stal — tak często poprzestają na słowie i to na słowie, w którym nie ma myśli, a jest tylko hasło. „Nie można chcieć być silnym i dzikim, ale można nim być" — mówi Bazarow u Turgenie wa. Obłąkańcy wielkich namiętności, ludzie czynu — jak Napoleon, nie widzą samego czynu. Nie pojmują inaczej życia, istnieje siła, która ich pcha i którą, o ile dostrzegają, umieszczają nazewnątrz siebie: w posłannictwie, w nakazie moralnym. Taki czyn jest w historii, ale nie należy do historii, nie złobi jej sobą. Nadaje jej kierunek formalny, ale żyje z cudzych treści. Natomiast działanie i głoszenie kultu działania są czymś z gruntu innym. Dla głoszenia potrzeby jest dar analizy, dający poznanie wewnętrznej dialektyki czynu — i to właśnie zdolność do czynu zabija.

Trzeba nadto powiedzieć, że czyn nie implikuje koniecznie heroizmu. Heroizm jest żywiołem tragicznym i sprowadza się do imperatywu walki do końca, walki toczonej wbrew świadomości, że koniec przyniesie katastrofę, że nie ma szans zwycięstwa. Tragizm, o którym Irzykowski napisał, że jest życiem, które śmierci zazdrości tajemniczości i wieczności, stanowi granicę ludzkiej mocy. Heroizm — to jest wytrzymanie tej granicy, wytrzymanie do końca. Jest to problematyka ostateczności. Czyn tworzy fałszywą eschatologię, może być w niektórych wypadkach heroiczny, ale nie musi być heroiczny z zasady, z konieczności.

Jego prawdziwą podstawą w ramach filozofii czynu jest nieufność w możliwość ewolucyjnego rozwiązania zagadnień życia, jest opowiedzeniem się za rewolucją — z przyjęciem ryzyka, przyjęciem najzupełniej fanatycznym i milczącym, że rewolucja może dać następstwa nieoczekiwane i nawet sprzeczne z założeniem. Szygalew w „Biesach" Dostojewskiego przemyślał logikę tego ryzyka, gdy z przerażeniem wyznawał, że jego rewolucja, podjęta w imię wolności, doprowadzić musi nieuchronnie do ucisku.

Każda mitologia, tj. każda fałszywa mistyka, która została zrealizowana, kończy się niepowodzeniem. Od tego ryzyka filozofia czynu uwolnić się nie jest w stanie, jest to niejako problem niezawinionej kary. Bo czym może nie być nawet „winą", może być usprawiedliwiony ex post jak każda rewolucja, która się udaje. Ale pociąga za sobą siły demoniczne, które w mniejszym lub większym stopniu obracają w nicość jego dzieło i gotują mu św. Helenę. Rysuje to przykład Lafcadia z „Lochów Watykanu", książki, która w literaturze Zachodu chyba równie jest niepokojąca, jak „Biesy" Dostojewskiego. Czyn, kiedy próbuje wejść w porządek moralny, może nawet zaburzyć jego hierarchię, lecz nie tworzy w ogóle niczego. Warto tu odesłać do świetnego szkicu Jerzego Stempowskiego o Andre Malraux (w Skamandrze). Lafcadio Gide'a ma zresztą silniejszego poprzednika — jest nim demoniczny Mikołaj Stawrogin i Piotr Werchoweński, jego małpa, jak się o nim Stawrogin w powieści wyraża.

Wydaje się, że podstawą „tentation russe" w literaturze europejskiej było to przede wszystkim, że Dostojewski dawał koncepcję życia, aczkolwiek z góry to trzeba powiedzieć dla Zachodu egzotyczną i jeżeli zrozumiałą, to nieprzystępną. Na drugim planie pozostawał fakt, że Dostojewski był nie tylko moralistą, lecz i psychologiem, coprawda w skali zgoła innej, niż Stendhal. Psychologia Dostojewskiego, tym więcej, że tak egzotyczna, musiała być atrakcyjna dla następców Taine'a i Renana, a współczesnych Freuda. Bohaterowie Dostojewskiego nie są, wbrew mniemaniu, które u nas, tak haniebnie nie znających literatury rosyjskiej, jest rozpowszechnione, wiązką paroksyzmów. Ich doświadczenia, które z niesłychaną szaleńczą wprost siłą analizy prowadzą na własnym życiu, zmierzają do określenia odpowiedzialności człowieka za siebie. To raczej literatura francuska z przełomu XIX stulecia idzie ku granicom ostateczności w każdym swoim wysiłku, który tak wyjątkowo nie jest zbiorowy, nie wysiłkiem epoki, a wysiłkiem poszczególnych pisarzy.

Powieści Dostojewskiego rozgrywają się w szerokim powietrzu, jeżeli nawet Dostojewski naraża swoich bohaterów na duchowe przejścia, których wymiar wydaje się aż nierzeczywisty, aż obłąkańczy, tym silniej podkreśla wtedy wygląd szczegółów, grymas twarzy, światło lampy, ruchy ręki, chwytającej krzesło — jakby chciał podkreślić, że mimo wszystko rzecz się rozgrywa w trzech wymiarach. Dostojewski odbiera bohaterom swoim wszystkie racje istnienia, możliwość szczęścia, zanurza ich w odmęt cierpienia — i wtedy bada ślepą rację życia. Najbliżej Boga jest się w cierpieniu. Bo ostatecznym wnioskiem rosyjskiego pisarza jest przekreślenie eudajmonizmu: dla samego siebie człowiek żyć nie zdoła. Należy zrezygnować z inteligencji, z intelektu i z uczuć, z namiętności. Możliwość szczęścia w świecie Dostojewskiego — stwierdza Gide w studium o tym pisarzu — nie leży jednak w zatraceniu siebie, lecz w staniu się osobowością. Osoba doskonała nie jest już zaprzątnięta sobą, może z kolei poświęcić siebie dla innych, aby inni stali się szczęśliwi. W tej koncepcji życia dla ludzi z Zachodu dwie sprawy musiały być najbardziej uderzające: szczerość, bezgraniczna szczerość spowiedzi publicznej, do jakiej zdolni są ludzie Dostojewskiego i jego analiza bezeceństwa intelektu i uczucia, która zapewniła mu w ogólnej opinii miano pesymisty.

W tej analizie główną rolę odgrywa pierwiastek demoniczny, który pojawi się potem u pisarzy francuskich, u Bernanosa, u Mauriac'a, u Gide'a. Intelekt jest u Dostojewskiego motorem zła. Miłości przeciwstawia się nie nienawiść, a mózg i on kieruje Stawroginem, czy intelektualistą Iwanem Karamazowym. Podobnie zło jest istotą namiętności. W „Braciach Karamazow" jest miejsce, gdzie jeden z bohaterów mówi o diabelskiej sile piękna. Pierwiastek demoniczny u Dostojewskiego przybiera postać osobową szatana, to nie zło, lecz Duch zła. Człowiek jest atakowany przez szatana, obroną jego jest uzyskanie osobowości na tyle silnej, aby mogła się już o siebie nie kłopotać, aby mogła się dobrowolnie poświęcić.

Gide przekonywująco wskazuje na rodzaj zależności, jaka istnieje między Nietsche'm a Dostojewskim, między radami Zaratustry a Kisiłowem. Ale na tym zestawieniu jest widoczne, jak „tentation russe" była przede wszystkim wyrazem niepokoju, głodem czegokolwiek. Zachód nie mógł wziąć Dostojewskiego na serio, potraktował go jako ornament, jako stylizację psychologiczną — nawet w tej dziedzinie, gdzie Dostojewski, wielki herezjarcha, mógł być wzięty na serio — w powieści katolickiej. Przede wszystkim u Bernanosa i u Gide'a odezwało się echo „Biesów" jako echo ornamentacyjne.

Ostateczną rozprawą powieści zachodniej z Dostojewskim jest postać Spandrella z „Kontrapunktu" Huxley'a. „Ostrze na ostrze" jest rodzajem dramatu dyskursywnego, w którym akcja powieściowa stanowi tylko pretekst. Poza nim ukryta jest dysputa tych koncepcji europejskiej myśli (w wielkobrytyjskim specjalnym ujęciu), które stworzyły skrócony obraz kultury Zachodu. Jest to portret intelektualny, portret, który służy jako sposób generalnej spowiedzi.

Nazwisko Aldous'a Huxley'a trzeba byłoby położyć u końca tego szeregu nazwisk, które zarazem oznaczają drogę wielkiej europejskiej powieści. W tych rozważaniach szereg ten nie był kompletny, taki zarzut muszę uprzedzić: zdaję sobie z niego sprawę. Lecz miałem inny cel, co może także samo przez się, poprzez tok myśli, się tłumaczy.

kańskiego miasteczka

Niech jak dziecko przyglądam się wystawom z podarkami i myślę o radości, jaką mi sprawią, zamiast myśleć, iż są one mi niedostępne z powodu cen wysokich. Niech przeglądam gazety i szukam miłych opowiadań świątecznych, zamiast dowiadywać się, kto kogo zabił i kto kogo porwał. Niech nastawię radio i słyszę melodyjne piosnki, zamiast: „Dobry wieczór Państwu — jest zła nowina dzisiaj". Niech idę do kina i ucieszę się baśnią o Siedmiu Karzełkach, zamiast pokazów zbrojenia się do trzeciej wojny światowej.

Jest czas przedświąteczny, Panie, czy wspomnisz na mnie, Niech Twój Anioł nie przynosi mi podarków, lecz ochroni mię przed jednym: przed nową wojną, mój Boże! Nie tylko wojną z obcymi, lecz także przed wojną domową, jaką już raz mieliśmy. Wygląda, jakby do niej znów przyjść miało, jeżeli niektórzy z naszych kierujących obywateli nie zejdą ze swej drogi. Daj mi jako podarunek nie podwyżkę płacy, lecz możność korzystania z dolara jako dolara, a nie „pół-koziołka" („half-buck"), jakim jest teraz. Moje zdrowie — zarówno jak i mej rodziny — jest dobre, drogi Boże; zachowaj je tylko takim.

Jestem może zbyt samolubny, że proszę oto wszystko. Świat jest zwariowany, a ja śmiem prosić o spokój umysłu. Mówią, że ludzie skarżą się tak długo na ucisk bucików, aż nie zobaczą kogoś zupełnie bez nóg. Lecz to, o co proszę, wydaje mi się tak prostym i małym, a jednak, gdyby cały świat posiadł to, nie byłoby żadnego sporu i nie byłoby wcale wojny. Gdyby nasi mądrzy senatorowie i dyplomaci dali nam to wszystko, co jest w Karcie Praw (Bill of Rights), czyżby rozpętało się coś kiedykolwiek? Nie tylko tu w naszym kraju, lecz i na całym świecie, ja myślę.

Jest mowa o rasie, o wierze; o kolorach i ludach. Zdaje mi się, że zapominamy, iż trzeba nacisnąć na podwójne klawisze — białe i czarne — aby zagrać Hymn Narodowy.

Oto, czego pragnę na święta, mój Panie: by ta wiedza była dana każdemu z osobna i wszystkim razem. Kto ja jestem, by pragnąć tego? Nikim specjalnie, mój Boże. Są miliony podobnych do mnie. jam tylko — jeden z wielu".

2. „Czym jest Ameryka dla mnie? Nazwą, człowiekiem, flagą, którą widzę, słowem: Demokracja. Cóż to jest Ameryka? Dom, w którym mieszkam, skrawek ziemi, ulica, sklepikarz, rzeźnik, ludzie, których spotykam, dzieci bawiące się na boisku, wszystkie rasy i religie — tym jest Ameryka dla mnie.

Miejsce, w którym pracuję, towarzysz mej pracy, miasteczko lub miasto, gdzie moi żyli i umierali, „Jak się masz" i podanie ręki, powietrze, w którym się czuję wolny i prawo wypowiedzenia się — to jest Ameryka dla mnie.

Miasteczko, w którym mieszkam, ulica, dom, pokój, bruk wielkiego miasta, lub ogród cały w kwieciu, kościół, szkoła, lokal klubowy, milion widoków, które widzę, ale specjalnie ludzie — to jest Ameryka dla mnie".

— — — — — —

Taką jest psychika i takie są ideały szarego człowieka. Tych szarych ludzi chce się zorganizować w nową partię w obronie ich ideałów i w obronie możności wyżycia się według tych ideałów. Przeciwnicy polityczni nie zwalczają tych ideałów, lecz twierdzą, że Progressive Party swoją polityką rozłamową — właśnie uniemożliwi realizację tych ideałów.

Jak naprawdę jest — przyszłość okaże. Co do jednego tylko moje pole obserwacyjne nie jest miarodajne. Czy Argo pod względem nasilenia propagandy i pod względem ilości zwolenników nowej partii jest miniaturą stosunków w U. S. A. Gdyby tak było, to nie tylko spokój małego miasteczka został zakłócony, ale całych Stanów.

Ks. Franciszek Błotnicki

Korespondencyjne studia KUL-u

DO WIADOMOŚCI osób pragnących studiować u siebie na miejscu pod kierunkiem Instytutu Katolickiego we Wrocławiu.

Wiele jest w Polsce osób, które pragnęłyby zdobyć gruntowną wiedzę z religii, filozofii, socjologii, pedagogiki, kultury itp. Niestety, tylko względnie niewielka liczba osób może dla studiów przebywać poza stałym miejscem swego zamieszkania. Aby umożliwić każdemu studia u siebie na miejscu, Instytut Katolicki we Wrocławiu podejmuje się pokierować tymi studiami i w tym celu opracował przydziały pracy naukowej, skrypta, wypisy itp.

Przewidziane są następujące przedmioty: filozofia systematyczna, Pismo św., teologia dogmatyczna, moralna ascetyczno-mistyczna, liturgia, prawo kanoniczne, psychologia doświadczalna i racjonalna, pedagogika ogólna współczesne kierunki i prądy pedagogiczne, socjologia pedagogiczna kultura życia codziennego, etyka społeczna, społeczne encykliki Stolicy Apostolskiej, dzieje kultury chrześcijańskiej, historia Kościoła.

Studentem-(ką) może być każda osoba katolickiego wyznania. Studia przewidziane są na dwóch poziomach: dla osób posiadających pełne średnie wykształcenie i dla osób nie posiadających takiego wykształcenia. Kolokwia i egzaminy studenci składają w Instytucie Katolickim we Wrocławiu.

Bliższych informacji udziela Instytut Katolicki za załączeniem znaczka 15 zł.

O GANDHIM

Pandit Nehru, Attlee, The Tablet, Time and Tide, The Economist Daily Worker, Times, The Truth, The Manchester Guardian

Istnieje w świecie powszechne mniemanie, że jest niepodobieństwem łączyć politykę z uczciwością.

Istnieje powszechna niechęć do szukania obiektywnej oceny politycznego przeciwnika. Stare metody wzajemnego wykańczania się zyskują nowe formy. Ostatnio spotyka się przerzucanie określenia „Hitler", oskarżanie o „imperializm", przerzucanie winy za wywołanie napięcia wojny.

W tej atmosferze trudno jest odnaleźć jakiekolwiek zestawienie dla wstrząsu, który poruszył opinię całego świata w sposób zadziwiająco zgodny, nie tylko w przeżytej zgrozie wywołanej faktem zabójstwa. Rewelacyjna, jedyna była ocena zamordowanego człowieka.

Gdyby w dzisiejszym przeglądzie prasy brytyjskiej dowolnie zmienić źródła cytat — trudno by się zorientować w błędzie, mimo zasadniczych różnic w kierunkach ideowych i politycznych wzmiankowanych pism.

Rozważania liberalnego Manchester Guardian na temat tego, że jest obowiązkiem filozofów kierowanie budową Królestwa Bożego na ziemi — bardziej pasuje, jeśli tak można określić — do katolickiego tygodnika The Tablet.

Zagadnienie świętości na łamach Economist'a jest doprawdy niecodziennym zjawiskiem. Postawa komunistycznego Daily Workera jest równie zastanawiająca jak liberalny Time and Tide, który wyjaśnia działanie Boskiej Opatrzności.

Wstrząs jaki politycy w zetknięciu z osobą Gandhiego musieli przeżywać wyraża **THE TABLET** (z 7 lutego 48).

„Ogromnym osiągnięciem Gandhiego było wycofanie się Anglików z Indii, do czego przyczynił się on bardziej, niż ktokolwiek inny. Jednak szczytem osiągnięcia było to, że brytyjscy politycy rywalizują ze sobą w składaniu gorących i pełnych podziwu hołdów dla jego niezwykłych cnót i wpływu. W każdym innym wypadku politycy Zachodu usiłują pomniejszać, jeśli nie zignorować wpływ doktryn religijnych na rządy i państwa. Przez osobę Gandhiego zostali zmuszeni do tego, by przyjąć jego wyraźne twierdzenie o najbardziej żywotnym znaczeniu, jakie ma religia zarówno w dziedzinie polityki jak i w innych. Ci sami politycy, którzy w Europie tak długo zamykali oczy na zagadnienia religijne, którzy stanowiąc o losie narodów tylko mimochodem wspominali swą wiarę, zetknęli się dzięki Gandhiemu z polityką, której nie byli w stanie ani zwyciężyć, ani zignorować, ani odeprzeć."

Rolę polityczną Mahatmy określa przykładem:

„był tym, czym w nadziejach Żydów miał się stać Mesjasz: politycznym przywódcą, który by znalazł sposób zmuszenia „Rzymskiego Imperium" do wycofania się".

W tytule „Święty i Polityk" wyraża się pogląd Mr. Guy Wint'a piszącego **w Manchester Guardian** (5 lutego 48)

„Działalność Gandhiego była najbardziej znamienna przez to, że łączyło się w nim życie religijne z polityką. (podkr. nasze). Najgłębszym jego zainteresowaniem było doskonalenie się człowieka. Idea doskonałości wywodzi się częściowo z tradycji hinduskich, częściowo z chrześcijaństwa, w części zaś od pisarzy Zachodu takich jak Ruskin i Tołstoj.

Było jego przekonaniem, że dobro można realizować w życiu w sposób najpewniejszy w dobrym społeczeństwie. A już co najmniej, że człowiek prawy musi wprowadzić w swe życie wysiłek doskonalenia swego otoczenia. (podkr. nasze). W ten sposób człowiek prawy nie może odgradzać się od polityki, ale musi brać udział w sprawach doczesnych Gandhiego krytykowano za te poglądy: „Kto mieczem wojuje od miecza ginie." i„ że „jest dowiedzione, że ludzie prawi kończą się, o ile stają się politykami".

Powiadają — Królestwo Boże nie może być osiągane przy pomocy świeckich środków, co więcej, są one Jego wrogiem. — Oto tradycyjne nauczanie większości mistyków różnych wierzeń".

...„Począwszy od Greków zasadniczym prądem myślowym Zachodu jest przekonanie, że Królestwo Boże jest przynajmniej częściowo tworzone na drodze działania politycznego i, że obowiązkiem filozofów była pomoc przy jego budowaniu".

Liberalny „Time and Tide" w artykule pt. „Czas śmierci" stwierdza, że:

„Głębsze wniknięcie pozwoli dostrzec działanie Opatrzności w czasie, sposobie śmierci i osobie zabójcy Gandhiego...

...jeśliby sprawca był mahometaninem, cały półwysep Indyjski tonąłby w rozlewie krwi. Łaska Boska, nie mniej niż ostateczny dramat żywota Gandhiego wymagały, by dokonało się to ręką współwyznawcy, jeśli miał to być współrodak. Jeśliby to był mahometanin — niezmienna żądza zemsty i nienawiść stałaby się naturalną konsekwencją takiej śmierci".

W innych rozważaniach znajdujemy wyjaśnienie, że Gandhi

„przyjął podział Indii jako konsekwencję grzechu, grzechu narodów, ale był przekonany, że może nastąpić nagroda pod postacią zjednoczenia, po oczyszczeniu serc i sumień.

Poświęcił się w międzyczasie, i poświęcił aż po śmierć w dziele pogłębiania poczucia odpowiedzialności, które jest podstawowym warunkiem zjednoczenia.

Odważnie, z poczuciem głębokiej słuszności występował przeciwko każdemu rodzajowi nienawiści."

Żywioł nienawiści najłatwiej może się obrócić przeciwko mahometanom — pisze **„Times"** z (4.II.48):

„Przyczyną jego ostatniego postu była decyzja obrony mahometan przed skutkami wewnętrznej nietolerancji w Delhi. Jednakże jego protest miał cel szerszy: wymóc na rządzie Indii prowadzenie takiej polityki w stosunku do Pakistanu, która by mimo jakiejkolwiek prowokacji opierała się na głoszonych przez niego zasadach etycznych.

Zdawało się, że jego wysiłki oznaczają początek nowego, jaśniejszego rozdziału w stosunkach pomiędzy Indiami i Pakistanem. Jednak widocznie jego osiągnięcia podniecały niektórych do podejmowania wysiłków, aby go przemocą usunąć".

„Bezpiecznie można prorokować, że nie znajdzie się następca w prostej linii po Gandhim.

Było coś wznośle jedynego na obliczu nieogarnionej jego osobowości, gdzie święty, polityk, prawnik i inspirator religijnego odrodzenia, asceta i działacz brali górę na zmianę".

Charakterystyczny przykład łączenia konsekwentnej akcji politycznej z uczuciowym stosunkiem do przeciwnika znajdujemy we wspomnieniach **„Time and Tide".**

„Musiało się to dziać w r. 1929 lub 30-tym, kiedy do East Lancashire (zach. Anglia — przyp. tłum.) Okoliczności były wyjątkowe, i one to sprawiły, że tam dotarliśmy.

Przemysł bawełniany przeżywał kryzys ekonomiczny, nacjonalistyczny bojkot brytyjskich towarów w Indiach był z tym związany. W East Lancashire są przynajmniej dwa miasta, których gospodarcza egzystencja opierała się na tkaniu materiałów bawełnianych dla rynków indyjskich.

W ciągu kilku tygodni znalazły się one w istotnie godnych pożałowania warunkach: 75% ludności na zasiłkach, a zasiłki w tych okręgach nie były przydzielane z żadną domieszką sentymentu.

Do tych miast przybył pewnego dnia Mahatma. Kiedy już się tam znalazł, krążył od domu do domu wszystkich dotkniętych bezrobociem, do którego w tak znacznym stopniu osobiście się przyczynił. Wyjaśniał każdej z rodzin, dlaczego uważał za swój obowiązek w stosunku do Indii powodować bojkot towarów z Lancashire, ubolewał nad ich cierpieniem i wzywał do znoszenia go odważnie dla dobra uciemiężonych wieśniaków i przędzalników hinduskich.

Było to posunięcie odważne i znalazło oczekiwany oddźwięk — otóż miasta Lancashire cierpiały przez sześć długich lat, ale w ciągu całego tego czasu nie słyszało się żadnego bezrobotnego, który by powiedział złe słowo w rozdrażnieniu o Gandhim. Utrzymywali wrogość w stosunku do Japończyków. Mahatma był niemal bohaterem".

Konserwatywny tygodnik **„The Truth"** (6.II.48) stwierdza, że

„Zdumiewające jest wrażenie, jakie wywarła śmiarć Gandhiego we wszystkich klasach narodu brytyjskiego".

Komunistyczny dziennik **„Daily Worker"**, wychodzący w Londynie (31.I.48) ocenia, że

„Śmierć Gandhiego usuwa jedną z najwybitniejszych postaci nie tylko w polityce Indii i historii zeszłego wieku, ale świata współczesnego.

Przez 30 lat Mahatma Gandhi panował na terenie polityki Indii. Przewodził wyznawcom, których liczba przewyższała dziesiątki, a nawet setki milionów, dla narodów świata był symbolem wolnościowych dążeń Indii.

W ciągu ostatnich kilku miesięcy, kiedy podział Indii został przeprowadzony przez Rząd Brytyjski i ziarna walk bratobójczych dawały gorzkie owoce — Gandhi cały ciężar swego autorytetu rzucił na szalę dla jednoczenia Ligi Muzułmańskiej, Hindu i Sikhów.

Ostrzegał, że wojna między Indiami i Pakistanem sprowadzi dla obu krajów rządy „Trzeciej siły"— wyraźna aluzja do Wlk. Brytanii".

„The Economist" (z 7.II.48) w artykule „Indie bez Gandhiego" ustawia Gandhiego wśród myślicieli Indii.

„Pogląd Anglików na Gandhiego jest czymś więcej niż oddaniem honorów szczerze przywiązanemu do swych zasad politykowi, człowiekowi gotowemu za nie umrzeć. Istnieje przekonanie, że w „sile duszy" Gandhiego był czynnik moralny i religijny, który przekraczał zwykłą politykę nacjonalizmów i demokracji.

Należy on do szeregu ascetycznych świętych, którzy w oczach szerokich mas hinduskich nigdy nie przestali reprezentować najwyższej formy życia ludzkiego na ziemi.

Tytuł Mahatmy czyni go spadkobiercą licznego zastępu religijnych przywódców mistyków.

W murach India House Gandhi i Buddha są dwiema najwybitniejszymi postaciami i nie wydaje się, by było coś niestosownego w tym zestawieniu.

Ścisły związek współczesnego nacjonalizmu i demokratycznych idei importowanych z Zachodu z głębokimi wartościami natury religijnej — był najbardziej uderzającą cechą rozwoju współczesnej polityki indyjskiej.

Gandhi nie był jedynym, który manifestował połączenie obu tendencji, które gdzie indziej w świecie współczesnym są rozdzielane.

Przed nim podobne poglądy wyrażały tak wpływowe jednostki jak Svami Vivekanada i Rabindranath Tagore. Jednakże w Gandhim tego rodzaju ideologia po raz pierwszy stała się realną siłą polityczną. (podkreślenie nasze).

i dalej:

„za inspiracją Gandhiego Partia Kongresu była w stanie stworzyć, potężny, masowy ruch, umiała docierać wpływami do najdalszych osiedli, gdzie nie istniało dotąd jakiekolwiek uświadomienie polityczne".

...„Śmierć Gandhiego nie zniweczyła jego wpływu. Zmarł jak męczennik i natychmiastowym rezultatem morderstwa było odwrócenie się sympatii w stosunku do Mahasabha. („Organizacji Hinduskiej powstałej w pocz. XX w., której ostrze zwrócone jest przeciwko Lidze Muzułmańskiej." przyp. tłum).

„Financiol Times News" (31.I.48) podaje w komunikacie, że

„Wiadomość o zabójstwie Gandhiego „wywołała wahanie na giełdzie",

które jednak szybko się wyrównało, nie przynosząc zasadniczych zmian. Świadczyło to o przekonaniu, że rząd jest w stanie bezpośrednio opanować sytuację w Indiach.

Mówiąc o Gandhim jako o jednej z najwybitniejszych postaci dzisiejszych czasów premier brytyjski C. R. **Attlee** przyznał, że

„prowadząc życie krańcowego ascety był uznany przez miliony rodaków za natchnionego świętego. Wpływy jego sięgały poza kręgi współwyznawców, i w kraju rozdartym wewnętrzną niezgodą, oddziaływał na wszystkich.

W innym tygodniku BBC, „London Calling" (5.II.48) podany jest tekst przemówienia **premiera Pandit Jawarhalal Nehru,** które jest zupełnie wzruszające w swej bezpośredniości. Nie ma w nim nic sztucznego, można by powiedzieć, że jest zupełnie nieopracowane.

„Odeszła od nas światłość; ogarnął mrok. Zupełnie nie wiem, co powinienem powiedzieć, jak moje myśli wyrazić. Nie mamy już wśród nas przywódcy, którego kochaliśmy, „Bapu", jak go nazywaliśmy, ojca naszego narodu. Może nie należy w ten sposób mówić — To jednak pewne, że nie ujrzymy Go więcej tak, jak całe lata mogliśmy widywać. Nie pospieszymy do Niego po radę, nie będziemy szukać u niego pociechy.

Nie tylko dla mnie jest to straszliwym ciosem, ale dla milionów i milionów w całym kraju".

W dalszym ciągu przemówienia, jakby po opanowaniu krzyku rozpaczy, tęsknoty za kimś najbliższym, odczuciu odpowiedzialności za przeżycia tych milionów i milionów, w których imieniu mówi, pociesza:

„Światłość odeszła, powiedziałem, jednak niesłusznie — bo światłość, która olśniewała ten kraj nie była rodzaju zwykłego.

Światłość, która olśniewała ten kraj przez tyle lat, będzie go dalej opromieniać; po latach tysiącu znać będzie w kraju tę światłość, i będzie ją dostrzegał świat, — i to ukojenie sercom wielu przyniesie".

S.K.

Dwie książki dr Ludwika Grossa

Popularyzacja zagadnień naukowych jest jednym z najtrudniejszych zadań autorskich. Podjąć się jej mogą tylko osoby rzeczywiście znające zakres wiedzy, którą chcą popularyzować, oraz posiadające łatwość pióra Trzeba przyznać, że dr Ludwik Gross autor książek „Siewcy chorób i śmierci" i „Ludzkość w walce o zdrowie" (wyd. Trzaski, Everta i Michalskiego) odpowiada obu wymaganiom Obie książki pisane są żywo i przystępnie, to też czyta się je „jednym tchem".

Autor, mający zresztą własne osiągnięcia w dziedzinie badań nad rakiem, przebywał dłuższy czas w centrum badań mikrobiologicznych: w Instytucie Pasteura w Paryżu, gdzie stykał się osobiście z wieloma uczonymi, którzy tworzyli i rozwijali tę jedną z najmłodszych gałęzi nauk przyrodniczych. Dzięki temu omawiane książki cechuje bezpośredniość i żywość.

Dr Gross czuje się pewnie w zagadnieniach teoretycznych i dotyczących historii rozwoju mikrobiologii Pewność tę nieco zatraca przy omawianiu problemów klinicznych i terapeutycznych Zaleca na przykład stosowanie 50 proc. mieszaniny olejunianego i wody wapiennej w oparzeniach drugiego stopnia — metody od dawna zarzuconej; przy leczeniu niedokrwistości złośliwej wspomina jedynie o podawaniu przetworów wątroby, nic nie mówiąc o preparatach zawierających czynnik Castle'a i o kwasie foliowym; działanie streptomycyny ujmuje dosyć powierzchownie, podczas gdy jest ona znakomitym uzupełnieniem Penicilliny, działając na bakterie gramoujemne (penicillina działa na bakterie gramododatnie).

Do usterek książek należy również stosowanie nie zawsze przyjętej terminologii np. dyfteria zamiast błonica, szkarlatyna zamiast płonica, tyfus zamiast dur, obstypacja zamiast zaparcie itd. Pewne wątpliwości nasuwa również niezbyt staranna korekta.

Wydaje się, że prace dr Grossa zyskałyby znacznie, gdyby ograniczył się raczej do zagadnień teoretycznych i historycznych. Jest to oczywiście pogląd indywidualny, wymienione zaś przykładowo usterki nie mają charakteru „czepiania się". W sumie obie książki stanowią dodatnią pozycję wydawniczą i mogą się przyczynić do likwidacji wielu szkodliwych dla zdrowia przesądów. Niewątpliwie szereg rozdziałów tych książek będzie stanowić rewelację dla niefachowych czytelników i rozszerzy nie tylko ich znajomość nauk przyrodniczych, lecz również wzbudzi podziw dla dociekliwości i ostrości obserwacji potentatów mikrobiologii. Wielu badaczy obserwowało np. mętnienie mieszaniny toksyny błoniczej i surowicy przeciwbłoniczej, dopiero zaś Ramona fakt ten naprowadził na drogę odkrycia anatoksyny (rodzaj szczepionki) przeciwbłoniczej; tysiące pracowników naukowych widziało porastające pleśnią pożywki bakteryjne, a znalazł się tylko jeden Fleming, który wyciągnął z tego właściwe wnioski i odkrył Penicillinę.

Czytając obie książki żałuje się, że dr Gross zbyt mało uwidocznił udział Polaków w postępie nauk lekarskich. Szkoda, że szerszy ogół nie zapozna się z twórczością Cybulskiego, Nenckiego, Parnasa, Nitscha, lub Hirszfelda.

Budzi się również żal w czytelniku, że wśród uczonych, którzy otrzymali nagrodę Nobla za mniej istotne nawet odkrycia, brak jest profesora U.J. K. Weigla, twórcy szczepionki przeciw durowi plamistemu, jednemu z dobroczyńców ludzkości. Trudno dziś jest szukać winnych tego oczywistego zaniedbania. Oby tylko w przyszłości uczeni polscy był właściwie oceniani przez własne społeczeństwo.

J. H.

Dr LUDWIK GROSS — „Siewcy chorób i śmierci" — Trzaska, Evert i Michalski. 1948 r.

Dr LUDWIK GROSS — „Ludzkość w walce o zdrowie" — Trzaska, Evert i Michalski. 1948 r.

J. J. Szczepański

Przyczynki do Sprawy Wolfa

3

W firmie dzięki swojej obrotności, używany był do załatwiania wszelkich delikatnych poruczeń. —. Łapówki dla Niemców, wynajdywanie sposobów na obejście niewygodnych przepisów... Posyłano go wszędzie, gdzie trzeba było zaryzykować. Cały Kraków był dla niego terenem łowów. Robił wrażenie młodego kota, gospodarującego tajemniczo po jakimś olbrzymim strychu. Duch zabawy, który unosił się wokół niego, barwił i innym wszelkie niedole i uciążliwości okupacyjnego życia. To nie jest byle co proszę pana, to jest wielki talent — romantyczność.

Ach! jak on by zaklął, gdyby usłyszał to słowo połączone ze swoim imieniem. Jego największą ambicją było uchodzić za trzeźwego, realnie myślącego „self mad man'a". Mimo to jednak, on był romantykiem. Nie ma na to rady. I wcale nie był taki prosty i prostoduszny, za jakiego się naiwnie podawał. Nie nuży pana ta charakterystyka? — to są wszystko sprawy bardzo istotne, jeżeli chodzi o człowieka, którego zabito z niewiadomych powodów.

Mówiłem panu na przykład o jego matematyczno - przyrodniczych zainteresowaniach. Toteż była dla mnie swego rodzaju niespodzianka.

Dawniej sądziłem, że interesuje go tylko technika i to przekonanie było, wstyd powiedzieć, jedną z poważnych przyczyn mojej dla niego niechęci.

Tymczasem, wie pan co było jego największą pasją w dziedzinie przyrody?

— Śnieg. Zrobiłem to odkrycie dopiero tu w Krakowie i początkowo nie mogłem zrozumieć o co właściwie chodzi. — Krystalizacja śniegów i lodów. — Dziwny problem. Dosyć chłodny, można by powiedzieć.

Żeby pan słyszał, jak on potrafił o tym mówić! Pilnował się bardzo, żeby nie wykroczyć poza naukowe terminy, ale w jego głosie bywał wtedy żar, zdradzający, że rządzi nim owo pełne tajemnych wzruszeń zdziwienie, które ludzie gardzący wyobraźnią nazywają z politowaniem „niepokojem metafizycznym".

Miał mnóstwo książek z tej dziedziny, całe kolekcje zdjęć i przezroczy. Oglądałem je często. To są naprawdę pasjonujące rzeczy, te bajeczne iskrzące się kwiaty, w których jakaś nadludzka fantazja i geometryczna precyzja splatają się w muzycznej niemal harmonii. Nigdy przedtem nie podejrzewałem, że mechaniczna logika parowania, skraplania się i zamarzania cieczy może tworzyć takie cuda.

Właśnie te kwiaty, te wymyślne gwiazdy, te arcysubtelne koronki, nie dla ludzkiego oka istniejące, obudziły we mnie podejrzenie, że Wolf jest jednak, mimo wiedzy i mimo woli artystą.

Widzi pan, rasowy technik, czy mechanik nie dziwi się. Zna pewną ilość niezawodnych praw, według których układa i organizuje swój wszechświat. Ale widząc powiększony płatek śniegu, podobny do srebrnego, międzygwiezdnego ukwiału, nie robi sobie kłopotu, żeby zapytać: dlaczego? — Dla czego tam, gdzie piękno, praktycznie rzecz biorąc, nie jest nikomu na nic potrzebne, gdzie natura mogłaby poprzestać na łatwych i mechanicznie wytłumaczalnych rombach, kwadratach czy trójkątach, wykwita cała nieskończoność wyrafinowanych arcydzieł?

Kiedyś zadałem Wolfowi pytanie brzmiące w podobny mniej więcej sposób.

Nie lubił takich rozmów. Wprawiłem go w widoczne zakłopotanie. Ostatecznie zdecydował się jednak przedstawić mi swój skandalicznie nienaukowo brzmiący pogląd na tę sprawę.

Widzisz — rzekł, — wydaje mi się, chociaż empirycznie jest to zapewne bez znaczenia, wydaje mi się, że skoro świat dostępny bezpośrednio naszym zmysłom jest piękny, to właśnie dlatego, że jest piękny w każdej swojej drobinie. Przypuszczam, że samo najprostsze, najgłębsze prawo tworzenia się form bytu, jest w jakiś sposób uwarunkowane tym, co my nazwaliśmy „pięknem". Człowiek zdumiewa się za każdym razem, kiedy zajrzy tak gdzieś głęboko. A to pewnie są sprawy bardzo elementarne... Ład, organizacja... Logos.

Skorzystał z okazji, żeby w tym miejscu wygłosić pełną temperamentu filipikę przeciw nowoczesnej sztuce, tak bardzo jego zdaniem pomiatającej „logosem".

Mimo to twierdzę, że był artystą; albo jeżeli pan woli metafizykiem — bo to chyba to samo. On proszę pana, chociaż bronił się przed tego rodzaju posądzeniami, przekroczył już pewną granicę, u której zatrzymują się wszelcy czciciele konkretu. Ci ludzie, uważający się zazwyczaj za wyzwolonych z mroków przesądu ludzi czynu, ulegają naiwnemu złudzeniu, że rzeczywistość jest czymś skończonym, o solidnych, grubych, nieruchomych powierzchniach. To śmieszne. Nie spostrzegają, jak czczone przez nich nauki ścisłe rozbijają mit wszelkiej skończoności, jak prowadzą w coraz głębsze, coraz rozleglejsze światy, w których namacalna solidność konkretów, rozpływa się, topnieje...

Chodzi mi o to, że rzekoma granica między tym co „rzeczywiste", a tym co „metafizyczne" ,okazuje się grubiańską mistyfikacją. Nie ma jej. Leży najwyżej w umysłach ludzi, niezdolnych dostrzec subtelnych ogniw wiążących ich ze światem.

Ale ja to wszystko mówię nie tak — ot. Nie dla czystego teoretyzowania. Ja z tych rozmów i rozmyślań o płatkach śniegu wysnułem wniosek, że Wolf nie jest prawdziwym nacjonalistą. Niech się pan nie śmieje. Mnie się zdaje, że przekroczenie owej fałszywej granicy, musi w konsekwencji wyprowadzić człowieka z wszelkich partykularyzmów pojęciowych, zniechęcić go do szufladkowania, prowincjonalizowania ludzkiego życia.

Ten mój wniosek zresztą okazał się słuszny. Dlatego opowiadam tutaj to wszystko. Tylko, że to była kwestia pewnej ewolucji, bo polityczne poglądy rzadko bywają wynikiem rozumowania. Zresztą on wcale nie filozofował tak, jak ja teraz. Nie miał czasu na dociekania, walki wewnętrzne i kontemplację. Wolf był taki, jaki był: szczery, żywy, ciekawy, inteligentny i uparty. Inteligentny nie na sposób szkolny, czy — co gorsza — kawiarniany, ale jakoś tak po amerykańsku. To co było w nim bardzo głębokie, pozostawiał w głębi, nie pozwalał temu krępować swobody swoich ruchów.

Bardzo dbał o swoją sprężystość i świeżość.

Mówiłem już panu, że ulubioną atmosferą Wolfa była atmosfera gry. No, a przy tym był sportowcem. Był taternikiem. Wspinaczem. Potrzebna mu była ta sprężystość. Pielęgnował ją w sobie nieustannie, uważał na siebie, żeby nie „storbieć" — jak się wyrażał. Nawet w sposobie mówienia przestrzegał pewnej higieny. Unikał dwuznaczników zdrobnień i poetycznych przenośni.

To wszystko nie jest bez związku ze sprawą jego nacjonalizmu i ewolucji, której początki wyśledziłem. Bo tak się akurat złożyło, że ja, odkąd zacząłem pracować u Matyldy związany byłem z terenem Podhala. Miałem regularne wyjazdy służbowe w góry i to ogromnie interesowało Wolfa. On był naprawdę wybitnym wspinaczem, prawdziwym miłośnikiem gór, a Tatry i Zakopane znał, jak mało kto. Coraz częściej rozmawialiśmy o tamtych stronach i tamtejszych stosunkach. Coraz bardziej kusiły mnie niewyzyskane możliwości Romana na tamtym terenie. No, ale tak, jak rzeczy stały, jakaś normalna współpraca między nami była niedopuszczalna. Tymczasem czułem, jak Wolf dusi się w otoczeniu swoich politycznych kamratów, jak wyrasta z ich formułek i tęskni za akcją o szerokim oddechu. Jeszcze ciągle chciał być lojalny, ale narzekał coraz częściej, nie mógł powstrzymać się od sarkania na „kanapowych" wywrotowców, „pyskaczy wiecowych" i „drobnych zbawców". c. d. n.

Czytelnik uważa, że...

W niniejszej rubryce drukować będziemy wypowiedzi i opinie naszych Czytelników na temat wszelkich zagadnień życia współczesnego, politycznego, społecznego, gospodarczego i kulturalnego, choćby odbiegające od stanowiska redakcji.

Wypowiedzi winny być opatrzone imieniem i nazwiskiem lub pseudonimem (w tym wypadku nazwisko winno być podane do wiadomości redakcji) oraz nazwa miejscowości. Wypowiedzi nie powinny przekraczać 50 wierszy druku. Ze względu na brak miejsca, redakcja zastrzega sobie prawo przeprowadzenia ewentualnych skrótów z zachowaniem pełnego sensu nadesłanych listów.

RZETELNOŚĆ PUBLICYSTYCZNĄ

Lubię bardzo tupet. Lubię bardzo Jakimiaka. Nie lubię tupetu p. Jakimiaka. Z przyczyn — jeśli się nie mylę — całkowicie obiektywnych i ze względu na skutki. Są one bardzo szkodliwe. Może nie tyle dla p. Jakimiaka, bo to człowiek twardy i pełen sił żywotnych, ile dla problemów poruszanych przez niego. Kiedy gardłował za p. Majdańskim, nie wtrącałem się, bo w sprawach, które omawiali, jestem ignorantem. Kiedy pisał o muzyce gregoriańskiej, milczałem, bo to dla mnie terra incognita. Dziwiłem się trochę wszechstronnej jego erudycji, ale przypomniawszy sobie, że obok dyletantów są i encyklopedyczne umysły, uspokoiłem się. Kiedy jednak specjalista od Majdańskiego i muzyki gregoriańskiej zabrał się do spraw literackich, nie wytrzymałem. Przeczytałem 2 razy (słownie: dwa) jego artykuł „O prawdziwie katolicką postawę pisarza" („Dziś i Jutro", nr 11) i nie mogłem się oprzeć wrażeniu, że muszę napisać ten list, że powinienem zwrócić uwagę na niebezpieczeństwa tego typu publicystyki, tego typu argumentacji, jaką akceptuje p. Jakimiak.

Sprawa jest poważna. Kiedyś Słonimski w Kronice tygodniowej przedwojennych „Wiadomości Literackich" zwrócił uwagę na to, że słowo drukowane ma wśród czytelników — mimo wszystko — duży autorytet i że autorytet ten zobowiązuje publicystów do cenienia swoich wypowiedzi, do przemyślenia tego, co się pisze, do t.zw. rzetelności publicystycznej.

Właśnie o tę rzetelność mi chodzi. Wymaga ona od autora nawet najbardziej przypadkowych artykułów —

po pierwsze: znajomości przedmiotu;

po drugie: wykończenia myślowego nawet w szczegółach;

po trzecie: — jeśli okoliczności uniemożliwiają spełnienie pierwszego warunku — dążności do możliwie pełnego, możliwie wyczerpująco uargumentowanego przedstawienia problemu.

P. Jakimiak, pisząc prowokujący mnie do tego listu artykuł, nie spełnił żadnego z trzech powyższych warunków. Pierwszego spełnić nie mógł, bo — jak sam wyznaje — „ostatnio bardzo mało czyta nie tylko prasy, ale i literatury dzisiejszej". To źle. Dobrze chociaż, że „nie prędko będzie miał własne pismo polemiczne".

Ale mógł i — co ważniejsze — powinien spełnić dwa następne warunki. Czytelnik ma prawo każde ze zdań publicysty uważać jako problem, jako określenie pewnej postawy. Co p. Jakimiak pocznie, gdy ktoś go zapyta o dowody na to, że: „wystarczy jedna ogólnie przychylna krytyka jednej książeczki, żeby zepsuć pisarza", „talent to nic", „Wiśniewski jest postacią przesadzoną, bo wymyśloną", „nie ma takich katolików, jak Wiśniewski", „t.zw. „piękne" kobiety są nudne, puste i płytkie zazwyczaj", „po dziś dzień erotyzm działa na mnie tak samo i będzie działał na mnie tak samo, gdy będę miał sto lat". To nie jest błahostka. I nie da się tego argumentu odeprzeć unikiem w „ja tak sądzę", albo zastrzeżeniem, że zdania wyrwane z kontekstu nic nie mówią. Właśnie mówią i to dużo. O artykule p. Jakimiaka, mówią przede wszystkim to, że jest bardzo powierzchownie przemyślany. Nie będę — przez dyskrecję i uprzejmość — rozbierał psiej historii, nie będę czepiał się zagadkowych zdań. Wskażę tylko, aby przejść za chwilę do sprawy ważniejszej, na przykładowo zresztą tylko przytaczane tutaj, nieporozumienie. W jednym miejscu stwierdza p. Jakimiak, że „nie ma katolików takich, jak Wiśniewski", w drugim zaś (sąsiednia szpalta) mówi „każdy będzie Wiśniewskim gardził, jak ów faryzeusz, każdy będzie się uważał za coś lepszego. Ja, dziwnym wypadkiem uważam się za coś podobnego do tej postaci". Więc jest ten Wiśniewski, czy go nie ma? W następnym zdaniu, wyjaśniającym podobieństwo między p. Jakimiakiem a Wiśniewskim, kryje się dalsza sprzeczność, znacznie już poważniejsza. „Katolik, ojciec rodziny, członek stowarzyszeń... I dlatego protestuję". Jak pogodzić motywację tego protestu ze sformułowanym kilka wierszy niżej postulatem: „Usposobienie pokorne, pełne miłości do bliźniego— oto uczucia jakie powinien szerzyć pisarz katolicki"? Czy protest p. Jakimiaka, „katolika, ojca rodziny, członka stowarzyszeń", wykazuje łatwość realizowania, „usposobienia pobożnego"? Tyle co do szczegółów.

Pozostaje jeszcze trzeci warunek.

P. Jakimiak usiłuje polemizować z tą częścią recenzji Mieczysława Kurzyny, w której omówione zostały opowiadania „Tajemnice Watykanu" i „Monarchiści". Pierwsze opowiadanie, a raczej omówienie pierwszego opowiadania skondensowało się dla p. Jakimiaka w problemie „pogardy dla przeciętnego katolika", drugie zaś istotne jest o tyle, o ile stanowi odskocznię dla rozważań o „urazie erotycznym katolików". Łatwo się zgodzić, że jest to zwężenie problemu krzywdzące i recenzję i książkę, którą ona omawiała. Godząc się jednak — chociaż opornie — z tym, że pewni ludzie muszą zwężać problematykę, pokusimy się o stwierdzenie faktu, że nawet w tych zwężonych ramach p. Jakimiakowi było za przestronno. Problem pierwszy został bowiem przez niego uproszczony: Żukrowski i Kurzyna pogardzają **przeciętnym** katolikiem. Tak nie jest. Ani autor, ani recenzent tego nie zrobili. Pogardzają — a to jest ich nie tylko prawem, ale chyba i moralnym obowiązkiem — **katolikiem papierowym, katolikiem naskórka, metryki, rozmiłowanej w zewnętrznych objawach dewocji.** Bo takim jest Wiśniewski. Gdyby p. Jakimiak bliżej go poznał, mniej byłby skłonny do wynajdowania podobieństw. To jedno. Mówiąc zaś o „nicości takich katolików", recenzent nie miał, jak wyraźnie zaświadcza kontekst, jakiejś moralnej, filozoficznej nicości na myśli, której przypisywać — zresztą słusznie — pozwala p. Jakimiak nawet zbrodnia zom. Chodziło tu raczej o społeczną, aktywną, apostolską nieprzydatność tego typu katolicyzmu. Burzę w szklance wody wywołało nieporozumienie. Wolę nie szukać winowajcy.

Drugi problem, problem „urazu erotycznego", nasuwa po lekturze artykułu p. Jakimiaka smętne refleksje. Uraz taki istnieje. P. Jakimiak tego dowodzi. Na sobie. Swoim artykułem. Zacietrzewienie w jakie wpadł zupełnie bez powodu, świadczy o niewłaściwym stosunku do tego zagadnienia. Większość wywodów jest zupełnie nieusprawiedliwiona, ani epizodami erotycznymi „Monarchistów", ani ich oceną w recenzji. Przyznaje to sam p. Jakimiak. A dlaczego o tym pisze? Czy dlatego, że nie istnieje uraz erotyczny? Nie będę odpowiadał na to pytanie, jak i nie będę rozważał tez p. Jakimiaka. Chodzi mi jedynie o to, że wybrał się z nimi najzupełniej nie w porę. A skoro się już wybrał, szkoda, że nie wskazał pozycji w literaturze pięknej, które by oświetlały jego negatywne sformułowanie.

Dajmy jednak spokój zarzutom. Mógłbym w zakończeniu wspomnieć o wielu plusach omówionego tu artykułu, ale p. Jakimiak wskazał wyraźnie na destrukcyjne oddziaływanie pochwał w rozwoju talentu, wobec czego — nie chcąc być przeszkodą w doskonaleniu jego publicystycznych możliwości — kończę zapewnieniem, że życzę im jak najprzychylniejszych narodzin.

Zygmunt L.

WIELCE SZANOWNY PANIE REDAKTORZE!

Proszę o zamieszczenie następującego listu:

Należę do pisarzy wyizolowanych. Rzec, że się pada ofiarą kanibalizmu, to tyle samo, co ściągnąć na siebie zarzut megalomanii. Istnieje jednak wyraźna „zmowa demiurgów" przeciwko autentystom, zmierzająca ku temu, żeby ich wszędzie utrącić, wszelkimi możliwymi środkami, wśród których nie ostatnim jest zamykanie furt czasopism i kneblowanie ust rozmaitego rodzaju uszczypliwymi notatkami. Że te szpilki są najczęściej nie szpilkami, ale

ordynarnymi agrafkami, ba, bronowymi gwoździami, kto by się o to martwił?

Uprzyjemniają mi moje nędzne życie, jak mogą: R. Matuszewski, Kiwilszo, Lichniak i cała sfora jeszcze ważniejszych. I znowu — cóż to kogo zainteresuje, że np. Lichniak, gdy pisze recenzje, likwiduje gościa przede wszystkim za pomocą kłamliwych insynuacyj? Odbierając mi imię poety (niech mu będzie!) i zapomniając o tym, że gdyby był na moim miejscu, na pewno dawno by już chodził z bobkową gałązką „nieśmiertelnego" na uszach, nie wie tenże Lichniak pewnie o tym, że już przed wojną szli na mnie jemu podobni rozmaici Dworakowie z ekonomskimi pałkami, a przecież żyję jeszcze, „gacie na maszcie" (tak nazwał jeden z bardzo inteligentnych krytyków program autentyzmu), jeszcze się utrzymują, a ze sławy rezunów nie zostało ni śmiecia.

Do długiego szeregu paszkwilów i prywatnych listów z pogróżkami od parających się piórem, jakie się ku mnie sypią, dołącza się otwarty list niejakiego Mieczysława Litwajtisa (od pewnego czasu ciągle się kręcą dokoła mej „sławy" osobnicy o litewskich nazwiskach), ogłoszony w tygodniku „Dziś i Jutro".

Litwajtis w obelżywy sposób rozprawia się z moją nowelą „Pierwszy wypad", zarzucając Redakcji „Dziś i Jutra", która ją zamieściła, że czyni z czytelników kandydatów do szpitala wariatów.

Skoro Redakcja otworzyła gościnnie miejsca dla wypowiedzi subtelnego czytelnika, spodziewam się, że udzieli i mnie głosu na skromną obronę.

Przede wszystkim oświadczam, że nowelka moja (wyjęta z cyklu krótkich opowiadań, pisanych z myślą o prostym czytelniku i młodzieży wiejskiej), stawia sobie zupełnie inne założenia, niż nowele Iwaszkiewicza, Żukrowskiego i Skierskiego. Mnie po prostu chodziło o to, by dać stylizowany prymityw z interesującą, sensacyjną fabułą. Jeśli Litwajtis jest, jak się tego można domyśleć, pułkownikiem partyzantki, życzę mu, żeby napisał lepszą ode mnie nowelę wojenną i, jeśli może, także powieść. I to co prędzej.

Jak wytłumaczyć „przeciętnemu śmiertelnikowi, dalekiemu od znawstwa literatury", jak sam siebie nazywa, że można naciągnąć na głowę nie tylko pierzynę, ale i poduszkę, że czołg najeżdżający na minę jest właściwie „trafiony", że rów w lesie może się kryć za kilkoma drzewami, że o pysku można mówić jako o pyskach, że głos potrafi uwięznąć „na dnie gardła" (przenośnia), że oczy patrzą, ale mogą i krakać (przenośnia), że krzyk nie zawsze jest rykiem na całe gardło, ale może się odbyć całkiem cicho? Jak wytłumaczyć purystom, że 2 przyp. l. mn. od „gardziel", jest: „gardzieli"?.

Wierzę mocno, że mój kulturalny i subtelny czytelnik jest w dodatku czytelnikiem „humanistycznym". Z całą rewerencją odnoszę się do humanizmu, ale humanizmu szczerego, prawdziwego, a humanizm Litwajtisa pachnie mi rozhisteryzowanym „humanizmem" z Kuźnicy. Z „humanizmu" Kuźnicowego mam „dwóję". I dlatego moi „chłopcy z lasu" obcinają szkopom palce i trupa kopią w zadek.

Wypadek opisany przeze mnie jest wypadkiem autentycznym. „Banda" (umyślnie podaję określenie niemieckie) zwarta „w pięściatą maczugę" (wyrażenie przenośne — maczuga przypomina pięść), idąc przez dwa dni lasami, natknęła się na leśnej drodze zupełnie przypadkowo (tak!) na czołg niemiecki (w pobliżu obiektów wojskowych — koło Kolbuszowy — było to zupełnie możliwe) i zlikwidowała go. Niemcy nie bronili się. Nie mogli strzelać, bo rów przecinający las znalazł się przed polem obstrzału (tego można się domyśleć).

W „elaboracie", jak Litwajtis nazywa moje opowiadanie, przypomina sobie ów wypadek chory podchorążak. „Z piersi zaczajonych w rowie wyrwał się ryk urwany, przeraźliwy. i ręce mu zaczęły dygotać nerwowo". Komu? Właśnie podchorążakowi. Tylko Litwajtis nie może tego zrozumieć. Zadźgano jednego Niemca, a ktoś krzyknął, że trzeba i z drugim to samo zrobić, i to nie znaczy, żeby w czołgu nie było jeszcze jednego szkopa. Ale trzeba uważnie czytać. Szkopom odebrano pierścionki z odciętymi paluchami. Partyzant, który na to patrzy, jest tak wstrząśnięty, że popada w pewnego rodzaju szok nerwowy.

A sprawa z pijawkami?

Nie jestem cyrulikiem, — może jestnim Litwajtis? Z opisu mojego można sądzić, że stawia się pijawki i tak, iż przykrywa się je brudną szmatą, chorego otula pierzyną, a potem przy nieumiejętnym zdejmowaniu rozgniata jakąś pijawkę, skąd dużo czarnej krwi. Taki zabieg zastosowano kiedyś mnie samemu, i czarnego skrzepu krwi, dostrzeżonej wtedy na własnych piersiach nigdy nie zapomnę. Być może, że uległem tylko złudzeniu, ale złudzenie wolno mieć każdemu. Takiemu zabiegowi przygląda się chory w nowelce. Naturalnie nie wie o co chodzi, dlatego może się mylić.

U Victora Hugo w „Człowieku śmiechu", cyklon obraca się w kierunku wprost przeciwnym do tego, jakiego wymaga natura, Szekspir zaś wyprawia okręty z przystani w Czechach. Nikt z czytelników mimo tego nie ubliża sławie tych świetnych pisarzy. Nikt, zdaje się nie wytknął też Mieczysławowi Braunowi, że potrafił wydłubać w którymś ze swych wierszy skamieniałą muszkę w zastygłej lawie i Jerzemu Putramentowi, że jego konie, mają „kare oczy".

Etyka literacka autentystów wyklucza nawet tego rodzaju pomyłki. Specjalnie to podkreślam właśnie na tym miejscu, gdy zupełnie bezpodstawnie zarzuca się mi wykraczanie przeciw postulatowi przedstawiania rzeczywistości zgodnie z prawdą, obowiązującemu zresztą każdego pisarza.

Wystąpiłem z Oddziału Wiejskiego ZZLP, nie należę w tej chwili do żadnej organizacji literackiej, która mogłaby mię wziąć w obronę za tę bezprzykładną napaść. Jestem przygnębiony i w poczuciu krzywdy, jaka mię spotyka i bezsiły.

Niech ten list będzie jednak protestem przeciw samowoli takich czytelników, jak Litwajtis, zdolnych do rzucania obelgami i brukowym dowcipem, lecz nie zawsze wiedzących o tym, jak ciężkim zawodem jest zawód literacki, ile doświadczeń, trudu i czasu pisarz musi wkładać, by skromny utwór: wiersz, nowela, essay był jak najbardziej „osobisty" i oryginalny, ile razy czyzeluje go i wygładza nawet już po opublikowaniu w piśmie, by mógł się w końcu ukazać.., w wydaniu książkowym.

Jan Bolesław Ożóg

27.III.1948 w Trzebusce.

W OBRONIE JĘZYKA ANGIELSKIEGO

Szanowny Redaktorze!

Podziwiam zawsze Waszą tolerancję i dopuszczenie do głosu każdej opinii. To zupełnie wyjątkowa trybuna o niespotykanej dziś lojalności wobec czytelników i autorów. Ale zdaje się, że ta tolerancja powinna mieć granicę i ustać, gdy ktoś wypowiada jawne nonsensy, obraża przy tym czyjąś świętość narodową, a w dodatku chowa się poza zasłonę anonimowości. A tak jest, niestety, w przykrych wypowiedziach Anonima na temat języka angielskiego, opatrzonych efekciarskim tytułem „Jak tanecznica, której wyłupiono oczy" (Dziś i Jutro nr 11, s. 4). Rzadko się zdarza taka kondensacja, grzecznie mówiąc, bzdurstw na tak niedużej przestrzeni, ale zupełnie wyjątkowy natomiast i bezpodstawny jest ton zohydzenia cudzej świętości, a taką stanowi niewątpliwie dla każdego narodu jego JĘZYK. Gdy więc ktoś sili się, ażeby temu językowi okazać pogardę i poniżyć go mówiąc, że jest to język: obrzydliwy, że mowa ta przypomina ujadanie kundla, że to w ogóle nie język (!), lecz zaledwie żargon, że nie należy do żadnej rasy (!) językowej, a jest mieszańcem, kundlem, bastardem, że jest bez pisowni (?), jest brzydotą między językami, i ta potworna brzydota może być przyczyną (?) braku smaku w innych dziedzinach sztuki, — czy nie obraża narodu, który tym językiem mówi i który w tym języku stworzył jedną z największych literatur świata? Jakżebyśmy się odnieśli do osobnika, który by tak nasobaczył językowi polskiemu? Anglicy jednak przyjmują tego typu głosy o sobie zazwyczaj z uśmiechem pobłażania, wiedząc, że wypowiedź taka charakteryzuje raczej mentalność wypowiadającego.

Ciekawe jednak, że Anonim pisząc, iż „język ang. jest bodaj ze wszystkich języków europejskich, najuboższym pod względem form gramatycznych", (co właśnie dobrze o nim świadczy, gdyż jak wiadomo każdy język w miarę rozwoju upraszcza swe formy), nie spostrzegł, jeżeli zna ten język, że jest on najbogatszym wokalicznie, t.zn., że posiada najbogatszą skalę różnic fonetycznych w obrębie samogłosek. To właśnie daje angielskiemu poecie taką możność różnolitości orkiestrowania frazy wiersza, jakiej naśladować nie może żaden język europejski. Anonim zaznacza: „Nie jestem gramatykiem, ani filologiem", — kim jednak jest wynika oczywiście z tego co napisał.

Piotr Grzegorczyk

DO SZAN. REDAKCJI „DZIŚ I JUTRO"

Warszawa

Marszałkowska 81

Pożyczyłem celowo parę razy Wasz Tygodnik pewnej buchalterce w sąsiednim przedsiębiorstwie — w końcu zapytałem o opinię odnośnie „Dziś i Jutro" — odpowiedziała, że nie umie mi powiedzieć, bo nie ma czasu tyle, by dobrze rozgryźć całą gazetę, bo jest za bardzo mądra i bardzo ciężka dla umysłu.

Otóż to, jesteście bardzo mądrzy — i wcale nie mam zamiaru piąć się do Was — jednak skreśliłem dwie uwagi na 2 tematy. Możecie wrzucić do kosza, częściowo zrealizować — obojętne — jednak „poniosło" mnie i popełniłem 2 pisma.

S. F.

P..T. „DZIŚ I JUTRO"

Na marginesie naczelnego artykułu Franciszka Lansdorfa o dochodzie społecznym, moje skromne zdanie.

Po prostu nie rozumiem się na tym, lecz moim zdaniem, przymiotnik „społeczny" należy zastąpić podmiotem, a więc Społeczeństwem. Więc dochód społeczny, powinien oznaczać dochód osobisty czy indywidualny całego Społeczeństwa, czyli dosłownie wszystkich obywateli danego Państwa: i adwokata i lekarza i sędziego i milicjanta, a żadnej fabryki czy przedsiębiorstwa, bo to są tylko narzędzia pracy, za pomocą których społeczeństwo pracując ustala swój indywidualny i ogólny dochód. Część dochodu konsumuje Społeczeństwo samo, a część odkłada dla Państwa, na wymianę wewnętrzną, bądź też zewnętrzną towarową, jak również na amortyzację, stwarzanie nowych narzędzi pracy (produkcji), i wykrywania skarbów mineralnych w ziemi.

Rozważania byłyby interesujące w kwestii np. takiej: jaką część zużywa Społeczeństwo samo, a ile zostaje na amortyzację, zapasy i obronę, z ogólnego dochodu brutto.

Wyobraźmy sobie rolnika, który objął 10-hektarowe gospodarstwo zupełnie zdewastowane — pole zapuszczone, brak inwentarza itp.

Wartość gospodarki początkowo jest nie duża. Rolnik posiada rodzinę złożoną z 5 dorosłych osób. Rolnik z rodziną zaczyna pracować, w ciągu dwu lat pracy całej rodziny gospodarstwo zaczęło dawać dochód coraz to większy, lecz cały dochód rolnik musiał przeznaczyć na kupno inwentarza żywego i martwego, na meble, podatki, paszę dla bydła, sam zaś posiadł długi i z całą rodziną ciężko pracując, stale był niedożywiony i źle ubrany.

Więc gospodarka jako całość posiadała coraz więcej wartości ogólnej „brutto" — natomiast o samym gospodarzu i jego rodzinie nie można powiedzieć, żeby jego dochód osobisty był coraz lepszy Czyli obserwujemy fakt zwiększania się dochodu ogólnego rolnika, przy równoczesnym kurczeniu się stopy życiowej jego i jego rodziny, bez względu na to że jeden członek tylko gotował jeść zaś drugi tylko był stróżem nocnym w gospodarstwie. Dla całości wszyscy byli potrzebni.

Rozdzieliłbym więc dochód społeczny na netto i brutto, t. j. dochód netto to stopa życiowa społeczna, zaś dochód społeczny brutto, to razem i skonsumowane dobra materialne i odłożone zapasy (wartości) na inne niezbędne dla całości cele.

Kwintesencją wszystkiego zawsze pozostanie sztuka ustalenia **uczciwych** proporcji między dochodem społecznym brutto i netto.

S. F.

O PRAWDĘ W PRASIE

Przed kilku dniami rozmawiałem ze starszym jegomościem na temat dzisiejszej prasy. Udowadniał mi, że nie warto czytać gazet, bo dużo w nich nieprawdy i kadzenia. Na dowód swego twierdzenia rozłożył przede mną „Dziennik Ludowy", Nr 841, str. 4 i pokazał artykulik jakiegoś St Jędrzejasa pod rubryką: „Nasi czytelnicy piszą" —

Krzyżowa jest wsią uspołecznioną.

1) Niedaleko od stacji Jeleśnia ciągnie się na przestrzeni 4 km. wieś Krzyżowa (pow. żywiecki), obejmująca 360 zabudowań gospodarskich.

2) Wioska jest pięknie, malowniczo położona w pobliżu kolei, biegnącej w kierunku Wiednia, Pragi i Budapesztu.

3) Ziemię w naszej wiosce można po większej części zaliczyć do żytniokartoflanej, która jest odpowiednio zasilana różnymi nawozami sztucznymi, dzięki czemu cały ogół ma się nieźle.

4) Od 1946 r. rozwija się świetnie Koło Stronnictwa Ludowego, którego inicjatorem był J. Sapeła, prezes pow. zarz. SL w Żywcu, wybitny działacz ludowy. Koło SL liczy 40 członków Aktywną postawę w pracy zajmują Krzyżowski i Wajna.

5) Istnieje też od 1925 r. Ochotnicza Straż Pożarna, o którą dba gorliwie prezes Wł. Dunat.

6) Rozwija się też świetnie Koło Mł. Wiejskiej „Wici". Członkinie i Członkowie Koła urządzają przedstawienia teatralne, zabawy itp.

7) Mamy we wsi szkołę 7-oddziałową i P.R.W Istnieją kursy wieczorowe dokształcające dla młodzieży starszej.

8) Dużo młodzieży od nas uczy się w okolicznych szkołach średnich. zawodowych i ogólnokształcących.

9) Mamy zbudowany piękny I piętrowy Dom Ludowy, który stał się ośrodkiem pracy kulturalnej na wsi.

St. Jędrzejas".

Ponieważ obaj z tym jegomościem mieszkamy w Krzyżowej i znamy ją jak własną kieszeń, obaj zawołaliśmy jednogłośnie: „ani zdania prawdy — bujda!"

Numerujemy zdania i udowadniamy.

1) Do zabudowań gospodarskich należą stodoły, stajnie, chlewy etc. Marna to wieś, która na przestrzeni 4 km. ma tylko 360 zabudowań gosp.

2) Z Jeleśni kolej w kierunku: „Wiednia, Pragi i Budapesztu" — a do Londynu to nie? Zobacz ob. mapę — a sam parskniesz śmiechem.

3) Dzięki czemu?... i czy nie źle?.. warto sprawdzić.

4) Zdaje się, że w 1947 r. zostało założone koło SL. W każdym razie ludzie o tym zapomnieli, gdyż od tego czasu do marca 1948 r. nie było w Krzyżowej ani jednego zebrania koła S.L. Więc czy to się nazywa „rozwija się świetnie"? Ob. Sapeta z Żywca, i nie poczerwieniał Pan na takie oszczerstwo? A ta liczba 40 „strasznie" zaokrąglona i to na więcej niż półtora tysiąca dusz w tej wiosce? I wobec tego co znaczy „aktywną postawę **w pracy"?** (podkreślam).

5) Nawet w tym błąd, że prezesem jest nie D. lecz Smolicki.

6) **„Rozwija się też świetnie".** Tymczasem w Krzyżowej koła Mł. Wiej. „Wici" w ogóle nie ma. Jak chodzi o przedstawienia — to zgadzam się, były dwa. Raz był magik, który połykał ogień, a drugi raz inny magik — pokazywał „żywą głowę bez tułowia" — ale czy obaj magicy byli „wiciowcami" — tego nie stwierdzono.

7) Takiej nie ma — jest inna, troszeczkę krótsza. A kursy dokształcające? — lipa.

8) Czy 4 albo 5 to „dużo" młodzieży?

9) A co to jest, obywatelu, praca kulturalna? Na każdej zabawie obfity bufet i wojna. Ostatnia np. zabawa ściany zbryzgała krwią, krew w kałużach pozostawiła na dworze obok tego „pięknego" domu, połamała płoty, porozbijała łby, posiniaczyła twarze itd. Wobec tego taka praca kulturalna jest w każdej karczmie. Nie dziwię się też, że dla tej pracy np. w Korbielowie (sąsiedniej wsi, ponad 1.000 dusz) stolarz porzucił hebel, kowal młot, rolnik pług i pozakładali restauracje. Trzy restauracje w nędznej, małej wsi. Wyzdychamy jak indianie! — Ale stop tydzień Trzeźwości się skończył.

A jaki wniosek z bujdy „uspołecznionej"? Taki, że jak jeden, drugi i milionowy facet przeczyta kłamstwa o swojej wsi, fabryce czy szkole, to w ogóle przestanie czytać gazety. Ergo — cui bono bujanie, kłamanie czy w najlepszym razie kadzenie komuś. I jeszcze jedno, czy już mamy nadmiar papieru?

Żądajmy prawdy w prasie, o nią walczmy — precz z zakłamaniem.

S.

KOMUNIKAT

w sprawie pielgrzymki b. więźniów Dachau — do św. Józefa w Kaliszu

Z wielką radością donosimy, że pielgrzymka do św. Józefa Kaliskiego, ślubowana przez nas w Dachau, odbędzie się pod wysokim protektoratem J. Em. Ks. Kardynała Augusta Hlonda, Prymasa Polski.

Odbędzie się ona w dn. 17, 18 i 19 kwietnia b.r., czyli w uroczystość Opieki św. Józefa (III niedziela po Wielkiejnocy). Pierwotnie podany termin został przesunięty na życzenie duchowieństwa i wiernych, którzy pragną tłumnie wziąć udział w naszej uroczystości, co w dzień powszedni okazałoby się dla nich niemożliwością. Zresztą w tym dniu Opieki św. Józefa przypada trzecia rocznica naszego ślubowania w Dachau. Wiemy, że przez tę zmianę terminu Księży Proboszczów, stawiamy w konieczności zorganizowania sobie zastępstwa ale ufamy, iż w tym wyjątkowym wypadku postarają się o to i do Kalisza przybędą na pewno.

Na liczne pytania ze strony kolegów świeckich uprzejmie odpowiadamy, że w tej pielgrzymce mogą wziąć udział wszyscy byli więźniowie niemieckich obozów i więzień, ci zwłaszcza, którzy razem z nami złożyli ślubowanie w Dachau.

Księża będą łaskawi zabrać ze sobą komżę i stułę białofioletową. Pątników, chcących zapewnić sobie mieszkanie, prosimy o wcześniejsze zgłoszenia pod adresem: Ks. Bp. Korszyński, Włocławek. Ci, którzy już się zgłosili, lecz ze względu na zmieniony termin pielgrzymki, nie będą mogli w niej wziąć udziału, zechcą nas zawiadomić o tym pod wyżej wskazanym adresem.

Każdy uczestnik ślubowania, biorący udział w pielgrzymce, otrzyma na miejscu w Kaliszu kartę uczestnictwa ze szczegółowym programem pielgrzymki, ze wskazaniem miejsca zamieszkania, miejsca i czasu Mszy św itp.

Ramowy program uroczystości pielgrzymkowej będzie następujący:

W sobotę, dnia 17 kwietnia odbędzie się procesjonalny pochód b. więźniów obozowych z kościoła SS. Nazaretanek do Cudownego Obrazu św. Józefa w Kolegiacie kaliskiej, gdzie po krótkim nabożeństwie do św. Józefa rozpocznie się całonocna adoracja Najśw. Sakramentu, a od północy będą odprawiane Msze św. we wszystkich kościołach i kaplicach Kalisza do g. 8 rano.

W niedzielę, 18 kwietnia o g. 10 odbędzie się suma pontyfikalna z kazaniem, po czym pójdzie procesja z Cudownym Obrazem św. Józefa po ulicach miasta. O g. 14 będzie wspólny obiad więźniów - pątników. O g. 17 zaś — posiedzenie plenarne członków ślubowania w Dachau.

W poniedziałek, 19 kwietnia odbędzie się uroczyste nabożeństwo żałobne za dusze pomordowanych w obozach i więzieniach Polaków.

Za Komitet Pielgrzymki:

Ks. Bp. F. Korszyński

Prezes

Ks. St. Librowski

Sekretarz

Włocławek, dnia 16 lutego 1948 r.

Redagują: Bolesław Piasecki, Dominik Horodyński i Mieczysław Kurzyna. **Wydawca: Kolegium Redakcyjne.**

Adres Redakcji i Administracji: Marszałkowska 81, m. 17, tel. 880-71. Konto P.K.O. — Nr 1-727.

Sekretarz redakcji przyjmuje: codzień, prócz poniedziałków i wtorków, godz. 12.30 — 13.30 **Prenumerata miesięczna 60 złotych. Kwartalna 180 złotych.**

Druk. Skolimowska 5.

B-49254